

Stanisław Stratijew

Rzymska łaźnia

Stanisław Stratijew

Rzymska łaźnia

Przełożyła Hanna Karpińska

www.stanislawstratiev.org

Rzymska łaźnia

© Stanislav Stratiev, 1974

© Hanna Karpińska, 1977

© Aeolus Project, 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być wykorzystywana, powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

OSOBY

IWAN ANTONOW

DOCENT, pracownik naukowy w dziedzinie trakologii

MARTA, jego narzeczona

GEORGIEW, ratownik

CEKOW, nielegalny eksporter zabytków, ikon i monet

DIAMANDIJEW, pośrednik sprzedaży nieruchomości

GECZEW, aktywista organizacji rejonowej

IWANOW, głuchoniemy

REŻYSER

PROWADZĄCY PROGRAM

ROBOTNIK, który mówi

ROBOTNIK, który nie mówi

KOLUMIENKA na postoju taksówek

CZŁONEK KOMISJI

CZŁONEK KOMISJI – członkowie komisji są równoprawni

CZŁONEK KOMISJI

AKT PIERWSZY

Róg ulicy. Kolumienka do wzywania taksówek. Iwan Antonow ze złością naciska przycisk. Widać, że robi to od dawna i bez najmniejszego skutku. Obok kolumienki stoi walizka i torba, z torby sterczą płetwy pływackie. Iwan Antonow wyjeżdża nad morze i właśnie jest katastrofalnie spóźniony, z czego mogą z kolei wyniknąć inne katastrofalne następstwa.

IWAN ANTONOW: Halo! Halo! Co jest z tymi taksówkami, powymierali wszyscy czy co!... Żeby się, chociaż odezwali!...

Kolumienka stoi niema, żadnego znaku życia.

IWAN ANTONOW: Halo!... Od pół godziny wołam „halo“ i nikt nie odpowiada. Wszystko przepadnie... Wszystko idzie w diabły i to z takiego głupiego powodu...

Kopie kolumienkę. Żadnego skutku – tyle, że noga go zabolą. Iwan złości się jeszcze bardziej – zaczyna kopać kolumienkę i ubliżać jej.

IWAN ANTONOW: Ty wstrętna, tępą, malowana blacho!... Żeby cię pokręciło, ty cholero!

KOLUMIENKA: (*niespodziewanie*) Słuchaj no! Nie będziesz mnie tu obrażał!... Nie jesteś w stajni!...

IWAN ANTONOW: Halo! Nareszcie! Proszę mi przysłać taksówkę. Tylko jak najszybciej!

KOLUMIENKA: Przyślemy, akurat! Ty nam będziesz wymyślał od cholery, a my ci będziemy przysyłać taksówki.

IWAN ANTONOW: Strasznie przepraszam. Ale od pół godziny wołam „halo“ i nikt mi nie odpowiada...

KOLUMIENKA: Wiemy, nie jesteśmy głusi.

IWAN ANTONOW: I z tego zdenerwowania...

KOLUMIENKA: Zdenerwowania! Gdyby ciebie ktoś tak kopnął, ciekawe, co byś zrobił...

IWAN ANTONOW: Najmilsi! Błagam, przyślijcie taksówkę! Jestem spóźniony, samolot zaraz odlataje!...

KOLUMIENKA: Żadni z nas najmilsi. Kiedy się nauczysz dobrego zachowania, to dostaniesz taksówkę.

IWAN ANTONOW: (*bezwiednie zaczyna głaskać kolumienkę*) Jeszcze raz przepraszam, nie chciałem jej obrazić, moje nerwy...

KOLUMIENKA: Wszyscy mają nerwy. Ale nie wszyscy rozbijają się taksówkami.

Iwan Antonow obejmuje kolumienkę i przyciska policzek do jej powierzchni.

IWAN ANTONOW: Błagam o wybaczenie! Moja wina. Tylko przyślijcie taksówkę, bo już jest strasznie późno. A to ostatni samolot. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

KOLUMIENKA: Obiecanki cacanki, a głupiemu radość.

Iwan Antonow patrzy na zegarek i rzuca się na kolumienkę. Obejmuje ją, głaszcze, przeciera szybką chusteczką do nosa.

IWAN ANTONOW: Bracia! Przyślijcie taksówkę! Bracia!...

KOLUMIENKA: Nie jesteśmy twoimi braćmi! Tacy grubianie nie mają braci!

IWAN ANTONOW: (*składa ręce jak do modlitwy*) Błagam! Skierowanie mi przypadnie! Skierowanie! I to nad morze!

KOLUMIENKA: Niech przypadnie.

IWAN ANTONOW: Od trzech lat o nie walczę. I ciągle wysyłają mnie w styczniu. A tam nie ma centralnego. Zrozumcie, kochani!... Szef się nagle rozchorował i dali mi jego skierowanie. Błagam was, on lada chwila może wyzdrowieć!...

Kolumienka milczy, nie słycać najmniejszego dźwięku.

IWAN ANTONOW: A kto się spóźni, tego odsyłają z powrotem. Wtedy nici z wczasów. Słyszycie? Proszę, mogę ją nawet pocałować. (*całuje kolumienkę*) Zobaczycie, zostaniemy przyjaciółmi. Zapomnijmy o przeszłości.

*Iwan obejmuje kolumienkę, głaszcze ją, delikatnie zdejmuje pyłki z jej szyby.
Pojawia się przechodzący towarzysz Geczew, rejonowy aktywista.*

GECZEW: Na każdym kroku zboczeńcy. Kobiety im już nie wystarczają... I żeby to przynajmniej w innym rejonie, nie w naszym... Przegramy współzawodnictwo!... *(wychodzi zdecydowanym krokiem)*

IWAN ANTONOW: Przyślę jej kartkę znad morza. No, co było, a nie jest... Dogadajmy się jak ludzie. *(znowu obejmuje kolumienkę)*

GECZEW: *(obłudnym głosem)* Halo, proszę pana...

IWAN ANTONOW: *(machinalnie powtarza, myśląc, że to kolumienka)* Halo, proszę... Słucham? *(widzi Geczewa)* O co chodzi?

GECZEW: Radzę panu iść na sąsiedni postój, tam pełno wolnych taksówek.

IWAN ANTONOW: *(natychmiast rusza we wskazanym kierunku)* Ależ oczywiście... Już idę...

GECZEW: A walizka? Byłby pan zapomniał.

IWAN ANTONOW: *(zawraca)* O, rzeczywiście. Dziękuję. *(chwytając walizkę i zaczyna biec)* Bardzo panu dziękuję.

GECZEW: Ależ nie ma za co. Przyjemnej podróży, wszystkiego najlepszego. *(odczekuje, aż się oddali)* Niech się mizdrzy do kolumienki w sąsiednim rejonie. *(wychodzi)*

OBRAZ PIERWSZY

Pokój w mieszkaniu Iwana Antonowa. Stała w nim kiedyś duża szafa biblioteczna, wypełniona książkami, a na ścianach wisiały obrazy. W głębi widzimy ustawioną poprzecznie bok starą komodę, na niej – mnóstwo butelek od whisky różnych marek. Iwan Antonow jest kolekcjonerem pustych butelek. Nad komodą wisi pudło od zegara ściennego, sam zegar jest gdzieś między meblami. Na środku holu stał kiedyś niski, masywny stół. Było w nim też wielkie stare brązowe biurko, zarzucone książkami, szkicami, papierami, kolorowymi flamastrami. Na biurku stał telefon i lampa z trzcinowym abażurem. Nad biurkiem wisiała gitara. Dwa fotele – skórzane, wygodne – przykryte pledami w szkocką kratę. Na tapczanie wełniana narzuta w ładnym czerwonym kolorze ...

Wszystko w tym domu mówiło o spokoju, wygodzie, przytulności.

Ale już nie mówi.

W tej chwili wszystko przewrócone jest do góry nogami, poprzestawiane, porozrzucane, pomiętoszone, na podłodze walają się książki, dywan jest zwinięty, tapczan stoi sztorcem pod ścianą, telefon tkwi gdzieś między meblami, pledy i krzesła zepchnięte w bezładny stos ...

I najważniejsza zmiana w holu – w jego środku znajduje się RZYMSKA ŁAŹNIA. Jest to basen z różowego marmuru, którego wewnątrz obrzeżone jest mozaiką, przedstawiającą kąpiące się matrony. W środku basenu przesuwa się na czworakach wpatrzony w coś mężczyzna w wyjściowym garniturze. W podłodze widnieje jeszcze kilka dziur, nad którymi przerzucone są deski, umożliwiające przechodzenie. W głębi wzniesiono rusztowanie, sterczą poplamione wapnem belki. W holu za chwilę zacznie się nadawanie na żywo programu telewizyjnego, kable rozwinięto, kamery są skierowane na łaźnię rzymską, świecą reflektory,

cała aparatura w pełnej gotowości, reżyser w zamszowej kurtce wydaje ostatnie polecenia...

REŻYSER: Cisza! Ani słowa więcej! Mamy jedną minutę! Dawać robotników.

Organizator wprowadza robotników – potykają się oni o kable, są niemal sparaliżowani ze zdenerwowania, jeden ma na sobie ubranie z nową białą koszulą, drugi samą koszulę. Idą za jak skazańcy na szafot...

REŻYSER: Ten jeden ma białą koszulę! Stary, program idzie w kolorze?

PROWADZĄCY: Tak.

REŻYSER: To po co mi tu facet w białej koszuli. Musi być kolorowa. Zabieraj tego w koszuli i to szybko, bo zaraz wchodzimy...

Robotnik w białej koszuli, ostatecznie zmieszany, rusza do wyjścia, ale prowadzący łapie go za kark i zawraca.

PROWADZĄCY: Nie da rady. Ten będzie mówił.

REŻYSER: A co, ten drugi może głuchoniemy?

PROWADZĄCY: Nie, ale próby były z tym. Tamten jeszcze naopowiada jakiś głupstw. Zresztą i temu najwyraźniej zabrakło języka w gębie...

REŻYSER: Nie ma czasu! Wchodzimy!... Dajcie mu jakąś marynarkę, ale już!

Rozpoczynają się paniczne poszukiwania marynarki. Okazuje się że wszyscy są tylko w białych koszulach. W tym momencie drzwi się otwierają i do swojego własnego mieszkania wchodzi Iwan Antonow, opalony po pobycie nad morzem. Niesie walizkę i torbę, z której sterczą płetwy pływackie. Ubrany jest w niebieską koszulę. Staje na progu jak wryty i nie wierzy własnym oczom.

REŻYSER: Za sekundę wchodzimy!... (gorączkowo się rozgląda, spostrzega Iwana Antonowa) Weźcie jego koszulę, niebieski dobrze wyjdzie! Byle szybko!

Kilka osób rzuca się na przerażonego Iwana Antonowa. Zdzierają mu koszulę i ubierają w nią Robotnika. Iwan pozostaje na progu, goły do pasa.

REŻYSER: Uwaga! Wchodzimy!...

Zapalają się czerwone światelka na kamerach, rozbłyskują reflektory oświetlające rzymską łaźnię, w której na czterech krzeselkach siedzą uśmiechając się sztucznie i niepewnie obydwaj robotnicy, człowiek w wyjściowym garniturze i prowadzący program.

PROWADZĄCY: Drodzy widzowie, szczęśliwy jestem, że mogę jako pierwszy zakomunikować o nowym wielkim odkryciu naszej archeologii, będącym dowodem wysokiej kultury materialnej i duchowej, jaka już przed wiekami kwitła na naszej ziemi. Odkryta została mianowicie PIERWSZA W PEŁNI

ZACHOWANA RZYMSKA ŁAŹNIA Z CZASÓW POMPILIUSZA. O znaczeniu tego unikatowego zabytku i o tym, jak został on znaleziony opowiedzą nam jego odkrywcy, którzy znajdują się z nami tutaj, w rzymskiej łaźni. Proszę! *(do robotnika ubranego w koszulę Iwana Antonowa)*

Sparaliżowany treścią Robotnik patrzy na niego w milczeniu, Prowadzący uśmiecha się i podsuwa mu bliżej mikrofon.

ROBOTNIK: Trajczko Georgiew Diułgerow, zamieszkały w Sofii, ulica Cara Borysa 73... *(milknie)*

PROWADZĄCY: I?...

ROBOTNIK: Żonaty, dwoje dzieci...

PROWADZĄCY: Opowie nam pan o łaźni?

ROBOTNIK: *(spogląda na drugiego robotnika, żeby sobie dodać odwagi)* No więc my żeśmy mieli tutaj lokatorowi zmienić podłogę. Ani nam w głowie nie powstało, że sobie takiej biedy napytamy. Facet pojechał na wczasy, akurat dostał skierowanie nad morze, mówi, zostawię wam klucze, to zrobicie...

PROWADZĄCY: A jak było z tą łaźnią?

ROBOTNIK: Przecież mówię. Zerwaliśmy starą podłogę, deski już były całkiem przegniłe, pokopaliśmy jeszcze pod spodem, żeby podsypać trochę kruszywa, bo inaczej by mu ta nowa znowu przegniła...

PROWADZĄCY: No i co?

ROBOTNIK: No i wtedy się pokazała jakaś mazajka... taka jakaś... różowa ...
Wtedy Kiro *(pokazuje głową drugiego robotnika, ten wstaje i się kłania)*

powiada: „Nie szkodziłoby tu trochę jeszcze pokopać... a nuż trafi się jakiś skarb, wszystko jest możliwe”... I...

PROWADZĄCY: I?

ROBOTNIK: I jeszcześmy trochę pokopali. I dokopaliśmy się, ale nie skarbu. A znowuż Kiro ma zięcia... (*wskazuje głową na Docenta*) Po prawdzie on nie jest jeszcze jego zięciem, ale niby się już młodzi dogadali... No i ten jego zięć się dowiedział... niby o tym, żeśmy kopali... Kiro wziął i wygadał się przed córką...

PROWADZĄCY: I co?

ROBOTNIK: I wszystko się wydało... zanim żeśmy zdążyli zakopać.

PROWADZĄCY: Dziękuję bardzo. A teraz przedstawiam państwu docenta Ananiewa. Czy zechciałby nam pan opowiedzieć o łaźni z naukowego punktu widzenia?

DOCENT: Przede wszystkim chciałbym przeprosić za zrozumiałe wzruszenie, ale jest to moje pierwsze odkrycie o tak wielkiej randze i nie mogę mówić o nim bez przejęcia. Pozwoliłbym sobie bez zarozumiałstwa określić to odkrycie jako unikat na skalę światową, bo nigdzie indziej na świecie nie istnieje tak dobrze, w całości zachowany basen łaźni z czasów Pompiliusza i Gała Lucjusza. Jest to rzymska łaźnia, marmurowy basen o rozmiarach cztery na trzy, z typową dla tej epoki mozaiką przedstawiającą matrony, słońca i dewizę Pompiliusza: „Zawsze i do końca!” Wszystko to wykonane jest z niezwykłym mistrzostwem, widoczne jest zadziwiające poczucie piękna u nieznanego rzeźbiarza, należącego niewątpliwie do szkoły Marka Antoniusza Oktawiana – słynnej szkoły, której zawdzięczamy wiele cudownych obiektów. Dla mnie znalezisko to pod względem wartości co najmniej dorównuje słynnemu grobowcowi trackiemu w Kazanłyku. Do tej pory w nauce panował pogląd, że łaźnie z tego okresu zostały

bezpowrotnie zniszczone przez barbarzyńców i na zawsze stracone dla ludzkości. W Rzymie, w Kalifornii i w British Museum przechowywane są wprawdzie pojedyncze elementy tego typu łaźni i fragmenty mozaik, wiązane z epoką Lucjusza i Pompiliusza, ale nauka nie zdołała przekonująco potwierdzić tego datowania. I oto stoi przed nami cała, nietknięta, niemal zapraszająca do kąpieli rzymska łaźnia! Nie ulega wątpliwości, że prace wykopaliskowe, które będą kontynuowane w kuchni, a może także w ubikacji, przyniosą nam nowe niespodzianki i nowe radości, a wtedy będziemy mogli...

Słyszac o pracach wykopaliskowych w kuchni i ubikacji Iwan Antonow, rozebrany do pasa, wskakuje do basenu, wykrzykujac do Docenta.

IWAN ANTONOW: Nie! Nie ruszajcie kuchni! Chociaz kuchnie mi zostawcie!

Nastepuje zamet, kamery odwracaja sie od basenu, podbiegaja ludzie chcacy odciagnac Iwana Antonowa, ten sie broni.

REZYSER: Halo studio! Halo studio! Muzyka i plansza! Plansza, tak – jezioro z labedziami!

Kurtyna

OBRAZ DRUGI

Iwan Antonow siedzi przy różowym basenie w swoim rozkopanym mieszkaniu i rozmyśla, objąwszy głowę rękami. Zapada zmrok. Jest sam, wszyscy już wyszli.

IWAN ANTONOW: *(wstaje i przemierza zagracony pokój, podnosząc lub trącając nogą porozrzucane rzeczy)* Że też to musiało trafić właśnie na mnie. Unikat na skalę światową akurat w moim mieszkaniu! Będę sobie teraz żył jak imperator. *(ciągnie materac, zostawia go, wpatruje się w basen)* Swoją te drogą matrony to całkiem, całkiem... Widać, że Pompiliusz był nie byle kim... *(przechadza się)* Przez tyle lat chodziłem do łaźni za rogiem i pomyśleć, że tymczasem pod samym moim nosem...

Nagle lampa się zapala, ostre światło wypiera mrok. Iwan odwraca się – do mieszkania wszedł Docent.

DOCENT: *(ostro)* Kim pan jest? I co pan tu robi?

IWAN ANTONOW: Mieszkam. To są moje pielesze, moje domowe ognisko. A można wiedzieć, czego pan tutaj szuka?

DOCENT: *(robi mu się nieprzyjemnie, krzywi się)* Ach tak, całkiem zapomniałem. Pan się nazywa Iwan Antonow?

IWAN ANTONOW: Ja tak. Bo pan chyba nie.

DOCENT: Ja się nazywam Ananiew. Docent Ananiew.

IWAN ANTONOW: Docent to imię?

DOCENT: Nie. Tytuł naukowy. Na imię mam inaczej.

IWAN ANTONOW: Jeden z moich znajomych nazwał swojego psa Docent. Chciał się zemścić na jakimś docencie, który parę razy go oblał z technologii metali. Był bardzo inteligentny.

DOCENT: (*bez ironii*) Docent?

IWAN ANTONOW: Nie, pies. Tak że z zemsty tego mojego przyjaciela nic nie wyszło. Chciał obrazić docenta, a obraził psa.

DOCENT: W takim razie pies powinien zdawać egzamin zamiast pańskiego przyjaciela. Zaraz by go zdał i po sprawie. A pan ma psa?

IWAN ANTONOW: Chodzi o jakiś egzamin? Mogę się rozejrzeć. Ale zostawmy psa i porozmawiajmy o łaźni. Kiedy będziecie ją przenosić? Jutro?

DOCENT: (*w pierwszej chwili nie rozumie*) O jakiej łaźni?

IWAN ANTONOW: O, tej. Rzymskiej. Unikacie na skalę światową.

DOCENT: Gdzie ją mamy przenosić?

IWAN ANTONOW: Jak to gdzie? Do muzeum. Albo do jakieś galerii w przejściu podziemnym. Żeby wszyscy mogli ją oglądać. Chyba że macie zamiar przeprowadzić specjalne przejście podziemne przez moje mieszkanie?

DOCENT: Widzi pan, zazwyczaj przenoszeniu takich obiektów towarzyszą olbrzymie trudności. I – co ważniejsze – wielkie ryzyko. Jest to reguła. A w tak wczesnym etapie prac badawczych, z jakim mamy do czynienia w tym konkretnym wypadku, powiedziałbym nawet, że jest to po prostu wykluczone. Nie możemy podjąć takiego ryzyka

IWAN ANTONOW: Jakiego ryzyka nie możecie podjąć?

DOCENT: Przeniesienia łaźni. Nie zbadaliśmy jeszcze składu i trwałości spoiwa, struktury mozaiki, parametrów chemicznych marmuru, nie wiemy, jak zareaguje na zmianę temperatury, na korozję...

IWAN ANTONOW: Nie wiecie?

DOCENT: Nie wiemy. Nie zbadaliśmy jeszcze także właściwości klimatycznych i warunków związanych z temperaturą, jakie panują w pańskim mieszkaniu. Być może są one specyficzne, niepowtarzalne, być może w powietrzu znajdują się jakieś specjalne bakcyle, które powstrzymują proces korozji, coś w rodzaju „bacillus bulgaricus”, wie pan, o co mi chodzi, te bakterie od bułgarskiego jogurtu...

IWAN ANTONOW: Tak, tak, i dalej?

DOCENT: Niewykluczone, że kiedy ją stąd ruszymy, rozpadnie się ona, zmieni w pył. To przecież całe stulecia.

IWAN ANTONOW: A może by pan ją przeniósł do swojego mieszkania. Być może tam również są bakcyle...

DOCENT: (*uśmiecha się pobłaźliwie*) Proszę wybaczyć, ale nie mogę tego brać poważnie, pańska propozycja nie ma charakteru naukowego...

Iwan Antonow, zamyślony, przechadza się po swoim rozkopanym pokoju.

IWAN ANTONOW: Więc rozumiem, że nieprędko ją stąd przeniesiecie?

DOCENT: Być może w ogóle jej nie przeniesiemy.

IWAN ANTONOW: A czy mogę napęlić basen wodą?

DOCENT: (*przerażony*) Woda??!!? Po co?

IWAN ANTONOW: Żeby się wykąpać. Co mi innego pozostaje, kiedy cały pokój mam zajęty przez łaźnię.

DOCENT: Ależ to przestępstwo. Nie wiemy jeszcze przecież...

IWAN ANTONOW: Dobrze. Więc nie mogę się wykąpać, bo to przestępstwo. A czy mogę wstawić do środka tapczan?

DOCENT: Jaki tapczan?

IWAN ANTONOW: Jednoosobowy, ale z tych szerszych.

DOCENT: Wykluczone.

IWAN ANTONOW: Sądzi pan, że się nie zmieści?

DOCENT: Absolutnie nie zdaje pan sobie sprawy z wartości tego basenu.

IWAN ANTONOW: Może biurko?

DOCENT: A czemu nie kuchenkę elektryczną marki „Meczta”? Będzie pan sobie smażył kotlety, dusił kapustę... Czego więcej potrzeba do szczęścia?...

IWAN ANTONOW: Dobrze. Na wszystko mogę się zgodzić. Ale gdzie ja mam mieszkać?

DOCENT: Jak to gdzie pan ma mieszkać? Nie rozumiem.

IWAN ANTONOW: Gdzie mam spać? Pracować? Pić herbatę? Gdzie mam grać na git... Przepraszam, a gdzie jest moja gitara?

DOCENT: Za regałem.

Iwan Antonow patrzy na niego ze zdziwieniem i podchodzi do regału. Wyciąga stamtąd tylko gryf gitary.

DOCENT: To już nie moja sprawa.

IWAN ANTONOW: Nie pana sprawa... A gdzie mają mi się rodzić dzieci?

DOCENT: Ojej, zaraz dzieci. Nie wiem. O dzieci każdy sam się powinien troszczyć. O pańskich dzieciach powinien pan sam pomyśleć. Chociaż muszę powiedzieć, że samym myśleniem do niczego się nie dojdzie, potrzebne są czyny. Przynajmniej na początku – żeby się urodziły. A co do reszty, Antonow, to nauka wymaga poświęceń. Bez nich postęp byłby nie do pomyślenia.

IWAN ANTONOW: Proszę się poświęcać, w końcu jest pan naukowcem. Czemu żąda się poświęceń ode mnie, skoro nie mam nic wspólnego z nauką. A pan z niej żyje. Czemu zawsze oczekuje się poświęceń od innych?

Docent milczy, pobłażliwie uśmiechnięty.

IWAN ANTONOW: Na dodatek chcecie się zabrać do kopania w kuchni i w ubikacji. A ja co, mam się może zdematerializować?

DOCENT: Antonow, stawia pan swój osobisty interes ponad interesem społecznym. Jest to egoistyczne. Gdybyśmy zaryzykowali przeniesienie łaźni, społeczeństwo straciłoby niewspółmiernie więcej niż pan. Pan sobie znajdzie inne mieszkanie, przecież teraz u nas tyle się buduje – cały kraj stał się jednym wielkim placem budowy. A nauka nie może podjąć ryzyka przeniesienia tego unikatowego znaleziska.

IWAN ANTONOW: Nie może?

DOCENT: Nie.

IWAN ANTONOW: No to ja to zrobię.

DOCENT: Pan? W jaki sposób?

IWAN ANTONOW: Zaraz pan zobaczy. Po prostu wyrzucę ją na ulicę.
(*wskakuje do basenu*) Wezmę młotek, łom, wiertło. Zaraz pan zobaczy pan, w
jaki sposób. Zresztą to nie będzie pierwszy taki wypadek w Bułgarii.

DOCENT: Pan jest barbarzyńcą.

IWAN ANTONOW: Jestem. Ale barbarzyńcą w swoim własnym domu. I nie
przepadam za gośćmi o tak późnej porze. Kładę się wcześniej, prawie z kurami.
Drzwi są na lewo.

Iwan idzie do kuchni. Docent zapala nerwowo papierosa. Iwan wraca.

IWAN ANTONOW: Jeszcze pan tu jest?

DOCENT: O ile dobrze zrozumiałem, wystąpił pan z jakąś sugestią.

IWAN ANTONOW: Owszem. Sugestia jest mianowicie taka, że nadszedł
najwyższy czas, by pan sobie poszedł. Całkowicie bezprawnie wtargnął pan do
mojego domu, rozkopał mi mieszkanie, połamał meble, przewrócił wszystko do
góry nogami... I na dodatek opowiada mi pan, że jestem barbarzyńcą. Niech się
pan wynosi.

DOCENT: Teraz ten dom należy nie tylko do pana.

IWAN ANTONOW: A do kogo jeszcze? Może do pana?

DOCENT: Do społeczeństwa. Takich domów jak ten są setki tysięcy, ale rzymska łaźnia z epoki Pompiliusza jest tylko jedna.

IWAN ANTONOW: Wyoś się pan razem ze swoją łaźnią.

DOCENT: Ja się wyniosę, a pan przez ten czas zniszczy łaźnię. Jedna noc panu wystarczy. I wtedy staniemy wobec faktu dokonanego. Wykluczone.

IWAN ANTONOW: Przesada, żeby cała noc. Zaraz się biorę do roboty i w pół godziny będę gotów. A potem będę ją przysyłał panu pocztą – codziennie jeden kawałek. Jakie kawałki pan woli – większe czy mniejsze? Dostosowujemy się do życzeń klientów.

DOCENT: A potem ja będę przysyłał panu papierosy.

IWAN ANTONOW: Dokąd?

DOCENT: Do więzienia. Markę papierosów dostosowujemy do życzeń klienta. Ludzkość mi nie wybaczy, jeśli dopuszczę do zniszczenia ostatniej być może łaźni z czasów Pompiliusza. Niechże się pan zastanowi, Antonow, jaka by to była strata dla ludzkości... Niech pan pomyśli o ludzkości...

IWAN ANTONOW: O ludzkości? A o pojedynczym człowieku kto będzie myślał? O ludziach, z których składa się ludzkość? Potąd mam całej tej troski o ludzkość i niezwracania najmniejszej uwagi na człowieka. Tak jest łatwiej, prawda? Ludzkość to pojęcie abstrakcyjne, ludzkość to zawsze ci inni, to ktoś inny, byle tylko nie ten, kto stoi przed tobą i o coś się upomina. A ja czym jestem? Gdzie jestem? Po jednej stronie jest ludzkość, nie wiem, ile już miliardów, a po drugiej stronie stoi Iwan Antonow. Iwan Antonow nie jest ludzkością, ponieważ w jego mieszkaniu odkryto rzymską łaźnię.

DOCENT: To jest sofistyka.

IWAN ANTONOW: A to są drzwi. Drzwi, służące do wychodzenia. (*wskazuje mu drzwi*)

W tym momencie drzwi się otwierają i wchodzi Marta, narzeczona Docenta.

MARTA: Dobry wieczór!...

IWAN ANTONOW: A dobry, dobry.

MARTA: (*do Docenta*) Mówiłeś, że będziemy sami.

IWAN ANTONOW: Coś takiego!...

MARTA: Co ten człowiek tutaj robi? To twój przyjaciel?

IWAN ANTONOW: Od dzieciństwa. I to najwcześniejszego. Najlepszy przyjaciel. Nazywam się Iwan Antonow.

DOCENT: Rzeczywiście nazywa się Iwan Antonow, ale nie jest moim przyjacielem.

MARTA: To co on tutaj robi o tej porze? Jakaś sprawa służbowa?

IWAN ANTONOW: Proszę sobie wyobrazić, że ja tutaj mieszkam.

MARTA: Jak to pan mieszka?

IWAN ANTONOW: Jak najnormalniej: śpię, jem kabaczki z jogurtem, pracuję, czasem wchodzę na kredens i stamtąd skaczę na łóżko. Nie robię tego zbyt często ze względu na sprężyny. Psują się.

MARTA: Myślałam, że mieszkanie zostało wykwaterowane. Przecież mi mówiłeś, że...

DOCENT: (*nerwowo*) Tak, tak, poczyniłem wszelkie kroki, ale sprawa się przeciąga, wszędzie ta biurokracja...

MARTA: I że ten człowiek, który w nim mieszkał, dostał...

IWAN ANTONOW: Co dostał?

DOCENT: Kochanie, teraz nie pora na takie rozmowy, potem ci wszystko wytłumaczę.

IWAN ANTONOW: Nie, nie! Co dostał? Do diabła, co się tutaj dzieje! Wystarczyło mi wyjechać na trzy tygodnie i... (*macha ręką*) Przecież gdyby mnie mieli wykwaterować, toby najpierw spytali...

MARTA: Ta cała rzymska łaźnia zaczyna mi działać na nerwy. Odkąd ją odkryłeś, wszystko przewróciło się do góry nogami...

IWAN ANTONOW: (*wtrąca, pokazując naokoło*) Tak, tak, właśnie do góry nogami...

MARTA: Przepadasz na całe tygodnie, prawie nocujesz w tym basenie, zmieniłeś się. Jesteś całkiem inny, czasami cię po prostu nie poznaję. Można by pomyśleć, że te matrony są ci droższe niż wszystko inne.

DOCENT: Marta!...

IWAN ANTONOW: (*z ironiczną galanterią*) Czy ja państwu czasem nie przeszkadzam?

MARTA: Wszystkich podejrzewasz, wszystkich się boisz, dziwacznie się zachowujesz...

DOCENT: Moja droga, nie jest to ani odpowiednia pora, ani miejsce na tego rodzaju rozmowy.

IWAN ANTONOW: Głównie pora. Jest ona nie tylko nieodpowiednia, ale i późna, a ja miałem już zaszczyt zwrócić uwagę paninemu... nie wiem dokładnie, jakiego określenia mam użyć, że kładę się spać wcześniej, prawie z kurami. Taki staromodny zwyczaj. I lubię sypiać sam. Bardzo śmieszne, prawda? Po prostu krępuję się rozbierać w obecności obcych osób.

DOCENT: Niech pan przestanie z tym sposobem mówienia. W końcu gdzie się pan znajduje?!!

IWAN ANTONOW: (*zaskoczony*) Jak to gdzie się znajduję...

DOCENT: A może pan pójdzie na spacer – taki śliczny wieczór.

IWAN ANTONOW: Nie chcę iść na spacer, chcę spać. Niech pan sobie sam idzie na spacer.

DOCENT: Mógłby się pan położyć w kuchni.

IWAN ANTONOW: Na piecu?

DOCENT: Może pan wziąć stąd fotel.

IWAN ANTONOW: A czemu mam spać na fotelu w kuchni, skoro posiadam pokój, specjalnie do tego przeznaczony.

MARTA: (*z rozdrażnieniem*) Obiecałeś mi, że będziemy sami. Tak dawno nie byliśmy tylko we dwoje. Powiedziałeś mi, że dziś wieczorem będziemy tylko we dwoje. Zrób coś.

DOCENT: Panie Antonow, naprawdę warto wyjść na spacer. Taki śliczny wieczór, chłodny, świeży...

MARTA: (*zdaje sobie sprawę z poniżającej sytuacji*) Chodźmy gdzieś indziej.

DOCENT: Jeśli stąd wyjdę, to on zniszczy łaźnię.

IWAN ANTONOW: Pewnie, że zniszczę.

MARTA: Jak to pan zniszczy?!!! Przecież to jest unikat...

IWAN ANTONOW: A wy czemu zniszczyliście mi mieszkanie? Ono też było unikatem. Miałem tylko jedno mieszkanie.

MARTA: Ale to jest rzymska łaźnia...

IWAN ANTONOW: Nie mam nic przeciwko rzymskiej łaźni. Jestem szczęśliwy, że znaleziona ona została właśnie w moim mieszkaniu, jestem dumny, że właśnie w naszym mieście istnieje jedyna w świecie tego typu łaźnia. Tylko przenieście ją. Umieśćcie ją w muzeum, zabierzcie do waszego mieszkania. Ja nie mam gdzie mieszkać. Dajcie mi inne mieszkanie i choć to jest mój rodzinny dom, cichy, przytulny, wygodny, gotów jestem go poświęcić dla nauki. Ale iść na spacer, mając własny, chociaż zrujnowany dom – co to, to nie. A teraz wychodzę – ale tylko się umyć, nie wpadajcie w niewczesną radość. *(wychodzi)*

MARTA: On ma jakąś rację. Powinni mu dać mieszkanie.

DOCENT: Kto mu da mieszkanie? Dzisiaj łatwiej o zawał niż o mieszkanie.

MARTA: Ale przecież wasz instytut mógłby...

DOCENT: Nasz instytut zajmuje się rzeczami pochodzącymi sprzed ponad tysiąca lat, a nie rozdawaniem mieszkań.

MARTA: A nie możecie jej gdzieś przenieść? Do muzeum albo do instytutu?

DOCENT: Zwariowałaś? Tego mi tylko brakowało, żeby ją przenieść. Zaraz się tam na nią rzucą różne profesorskie gwiazdy i dla mnie guzik zostanie. Jeden napisze rozprawę, drugi opublikuje komunikat naukowy, trzeci pojedzie na kongres do Rzymu... Nie, jeśli ją stąd ruszę i przeniosę do muzeum, to odkrycie

nie będzie już moje, stanie się własnością wszystkich, wszyscy będą mogli je wykorzystać. Nie, w żadnym wypadku.

MARTA: Przecież on nie może mieszkać na ulicy.

DOCENT: Czy zdajesz sobie sprawę, czym jest dla mnie ta rzymska łaźnia? To wielka szansa, jaka przychodzi tylko raz w życiu. Jeśli jej nie wykorzystam, to koniec.

MARTA: Ale ta łaźnia to...

DOCENT: Ta łaźnia to rozprawa naukowa, profesura, dysertacja, kongresy – Rzym, Genewa, Londyn, Madryt, to ja jako członek-korespondent paru akademii nauk, to zaszczyty, sława, pieniądze!... Tak tę łaźnię wycisnę, że... Tylko trzeba działać, trzeba działać jak najszybciej, a ten cały Iwan Antonow płacze mi się niepotrzebnie pod nogami i zawraca głowę... Skąd go diabli przynieśli?...

MARTA: Zdaje mi się, że jednak przesadzasz. Mimo wszystko dom należy do niego i to nie jego, tylko nas diabli przynieśli.

DOCENT: *(w ogóle jej nie słucha)* Jak najszybciej... jak najszybciej, zanim mnie ktoś uprzedzi...

Marta pieszczotliwie zasłania mu dłońią usta. Potem kładzie ręce na jego ramionach. Patrzy mu w oczy.

MARTA: *(cicho, serdecznie)* Co się z tobą dzieje? Całkiem jakbyś oślepl. Nie widzisz mnie? Nie widzisz nic innego poza tą łaźnią?

DOCENT: *(myśli o czymś innym, nic nie rozumie)* Widzę cię, widzę.

MARTA: (*ciepło, półgłosem*) Popatrz tu. Popatrz na mnie. Widzisz mnie?

DOCENT: (*nie rozumiejąc podtekstu*) Co za żarty, oczywiście, że cię widzę.

MARTA: To nie są żarty. Naprawdę mnie widzisz?

DOCENT: (*z rozdrażnieniem*) Powiedziałem ci już, że widzę. Wzrok mam w najlepszym porządku.

Marta zdejmuje ręce z jego ramion i lekko się odsuwa. Stopniowo zrobiła się bardzo poważna.

MARTA: A teraz?

DOCENT: (*zdziwiony*) Marta!...

MARTA: (*wskakuje do rzymskiej łaźni*) A teraz?

DOCENT: Doskonale cię widzę. Mam wspaniały wzrok. (*jego ton wskazuje, że nie zdaje sobie sprawy z powagi momentu i że właściwie nic nie widzi*)

MARTA: (*jakby do siebie*) Nic nie widzi. (*podchodzi do niego*) Nic nie widzisz, oślepieś. Od kiedy? Dlaczego?

DOCENT: Przestań. To ma być jakiś nowy kawał?

MARTA: Tak. Kawał.

W tym momencie wchodzi przebrany w piżamę Iwan Antonow i kieruje się do łóżka.

IWAN ANTONOW: No to ja się kładę. Dobranoc.

MARTA: On będzie tutaj spał?

DOCENT: (*zirytowany*) Sama widzisz, jaka jest sytuacja.

MARTA: (*gorzko*) Ta sytuacja trwa już od miesiąca. Nigdy nie masz dla mnie czasu, nie dzwonisz, w ogóle od momentu odkrycia tej rzymskiej łaźni ani razu o mnie nie pomyślałeś, zupełnie jakby mnie nie było ...

IWAN ANTONOW: Proszę wybaczyć, ale rozmowy nie pozwalają mi zasnąć. I lampa też mi przeszkadza.

MARTA: Każdy dba tylko o siebie.

IWAN ANTONOW: Mam już takie śmieszne przyzwyczajenie – śpię przy zgaszonej lampie.

MARTA: Bez przerwy myślisz o łaźni, a raczej nie o niej, tylko o możliwościach, jakie ona przed tobą otwiera.

DOCENT: Moja droga, zdaje mi się, że przesadzasz. Jesteś przewrażliwiona.

IWAN ANTONOW: Przewrażliwiony to jestem ja. Lampa mi świeci prosto w oczy.

DOCENT: Co za drobnomieszczanin! No niech mu tam. (*gasi lampę*)

Marta, porozmawiajmy spokojnie. Po ciemku nawet lepiej się rozmawia.

MARTA: Nie chcę teraz rozmawiać. On będzie wszystko słyszał.

IWAN ANTONOW: Słusznie.

MARTA: Wyjdźmy stąd, chodźmy do innego pomieszczenia.

IWAN ANTONOW: Mam bardzo dobry słuch, prawie jak zwierzę – wszystko słyszę z odległości pół kilometra.

DOCENT: Kochanie, wydaje mi się, że nie doceniasz znaczenia chwili.

MARTA: Myślisz tylko o sobie.

DOCENT: Myślę o nas obojgu.

MARTA: Tylko o sobie. Jutro znowu mnie zostawisz z powodu jakiegoś grobowca czy innego rozbitego garnka.

IWAN ANTONOW: Ma to pani jak w banku.

DOCENT: A pan niech się nie odzywa. Nikt się pana o zdanie nie pyta.

IWAN ANTONOW: Mnie nigdy nie pytają o zdanie. Nawet wtedy, kiedy mi rozkopują mieszkanie.

MARTA: Nie, tak nie można, mam już dosyć, przecież to się zdarza nie pierwszy raz. Wiecznie ten pośpiech, wiecznie jakieś nadzwyczajnie ważne sprawy... A ja nie jestem mumią, nie mogę żyć tylko zabytkami...

DOCENT: Marta, powinnaś rozumować jak nowoczesny człowiek...

MARTA: To znaczy tak, jak rozumujesz ty, prawda?

IWAN ANTONOW: Tu nie ma co rozumować, wiadomo, że myśli zabijają czyny.

MARTA: (*spojrzawszy na Iwana Antonowa*) Wyjdźmy gdzieś, wyjdźmy chociaż dzisiaj. Ten pan nie zniszczy łaźni. Prawda, że jej pan nie zniszczy?

IWAN ANTONOW: (*wskazuje Docenta*) Proszę się jego spytać.

DOCENT: Zniszczy.

MARTA: Nie, nie zniszczy. Pan da słowo honoru, że nie zniszczy. Prawda?

DOCENT: Nie rób się śmieszna – kto dziś wierzy w słowo honoru.

MARTA: W takim razie wybieraj: albo łaźnia, albo ja.

DOCENT: Dobrze wiesz, że nie masz prawa stawiać sprawy w ten sposób...

MARTA: Owszem, wiem. Wiem, co znaczy dla ciebie ta łaźnia. Toteż nie zmuszam cię, byś w ogóle z niej zrezygnował. Chcę tylko, żebyś dziś wieczór gdzieś ze mną poszedł. Ja też coś dla ciebie znaczę, prawda?

DOCENT: Dziś wieczór to niemożliwe.

MARTA: W taki razie – powodzenia! (*wychodzi*)

DOCENT: Marta!

IWAN ANTONOW: Ładna dziewczyna. Ja tam bym za nią poszedł. Nawet gdyby ta łaźnia miała się rozbić w drobny mak.

DOCENT: Mam dość pańskiego gładzenia! (*zapala nerwowo papierosa*)

IWAN ANTONOW: Życie seksualne leży u podstaw przemiany materii.

DOCENT: Zamknij pan dziób!

IWAN ANTONOW: Pisało w gazecie.

DOCENT: Dureń!

IWAN ANTONOW: A dureń, tylko że jeszcze nie wiadomo, kto. Dogonię ją i odprowadzę do domu. (*wybiega, zanim zaskoczonemu Docentowi udaje się odpowiedzieć*)

Docent pali nerwowo papierosa, siedząc na ustawionym w basenie łóżku polowym. Uderzenia zegara rozbrzmiewają w jego świadomości głośno, ciężko, jak młoty. Upływa czas – tik-tak, tik-tak... Docent gasi lampę i pali po ciemku.

Wchodzi Iwan Antonow, idzie na palcach przez rozkopany pokój w stronę kuchni.

DOCENT: *(zapala nocną lampkę)* Dokąd pan idzie?

IWAN ANTONOW: A, to pan jeszcze tutaj. Tak sobie pan siedzi w tej swojej łaźni.

DOCENT: *(podejrzliwie)* Dokąd pan idzie?

IWAN ANTONOW: Zgłodniałem. Po tych rzeczach człowiek jest zawsze głodny. Przegryzę coś.

DOCENT: Po jakich rzeczach?

IWAN ANTONOW: Pan to całkiem jak dziecko – bez przerwy zadaje pytania. A pewne rzeczy są zabronione dla dzieci i młodzieży.

DOCENT: Musi pan mi powiedzieć.

IWAN ANTONOW: A czemuż to? Jest pan moim spowiednikiem? Albo rejonowym mężem zaufania?

DOCENT: *(z nadzieją w głosie)* Wcale pan jej nie dogonił.

IWAN ANTONOW: A co to pana obchodzi? Przecież pan wybrał łaźnię.

DOCENT: Rozbiję panu mordę.

IWAN ANTONOW: Ta propozycja nie ma charakteru naukowego, jak sam pan się wyraził.

DOCENT: Niech mi pan nie staje na drodze, Antonow! Miażdżyłem każdego, kto ośmielił mi się stanąć na drodze.

IWAN ANTONOW: A może ma pan na imię nie Docent, tylko Walec. Walec Ananiew.

DOCENT: Zmiażdżę pana, Antonow!!!

IWAN ANTONOW: Włosy mi stają dęba. A czy pan miażdży także w nocy? Bo właśnie idę spać. *(kładzie się i okrywa kołdrą)*

DOCENT: Coście robili z Martą?

IWAN ANTONOW: *(ironicznie)* Rozmawialiśmy o sztuce.

DOCENT: Niech mi pan powie, bo...

IWAN ANTONOW: *(przerywa mu)* Jutro to panu narysuję. A teraz zasypiam i poproszę, by mi pan nie przeszkadzał swoimi naiwnymi pytaniami.

Docent gasi lampę. Wyciemnienie.

Pokój Iwana Antonowa w tym samym stanie – rozkopany, poprzestawiane meble, w środku basen, w którym na łóżku polowym śpi Docent. Nad dziurami w podłodze poprzierzucane deski. Iwan Antonow także śpi.

Wchodzi Cekow, elegancki mężczyzna w średnim wieku, widać po nim, że z niejednego pieca chleb jadł. Rozgląda się, patrzy na łaźnię, na obydwu śpiących, przez chwilę się waha.

CEKOW: Dzień dobry!... *(milczenie, śpią)*

CEKOW: *(głośniej)* Dzień dobry!...

Iwan Antonow i Docent dalej śpią.

CEKOW: (*prawie krzyczy*) Dzień dobry!...

IWAN ANTONOW: (*raptownie rozbudzony, siada na łóżku*) Co się stało?

CEKOW: (*z uprzejmym uśmiechem*) Powiedziałem „Dzień dobry!”

IWAN ANTONOW: I tylko po to mnie pan obudził? Żeby mi powiedzieć „Dzień dobry”?!

CEKOW: Nie.

IWAN ANTONOW: Pomyślałem, że może zatrudniono pana do mówienia ludziom pracy „Dzień dobry”. Nowy przejaw troski o człowieka.

CEKOW: Nie. (*ogłąda ze znanstwem łaźnię*) Proszę wybaczyć, czy to jest ta unikatowa rzymska łaźnia?

IWAN ANTONOW: Tak. A może pan jest docentem? Bo już tu jeden taki śpi.

CEKOW: Niestety nie udało mi się osiągnąć takich szczytów wiedzy. Mam średnie wykształcenie.

IWAN ANTONOW: To budzi zaufanie. A mogę zapytać, czemu zawdzięczam pańską wizytę? Posiadanie średniego wykształcenia nie jest chyba wystarczającym powodem.

CEKOW: Szukam Iwana Antonowa, właściciela tego domu. Chciałbym z nim porozmawiać.

IWAN ANTONOW: Jeśli chodzi o Iwana Antonowa, to jak na razie ja nim jestem. Chociaż wydarzenia biegną tak szybko, że sytuacja może się w każdej chwili zmienić. Dlatego radzę wykorzystać okazję.

CEKOW: Bardzo przepraszam, ale ponieważ tu są dwie osoby... Chyba pan mnie rozumie... czy mógłby pan to poprzeć jakimś dokumentem?

IWAN ANTONOW: Chciałby pan obejrzeć metrykę urodzenia?

CEKOW: Ależ co znowu, wystarczy mi dowód osobisty. Mogę pana zapewnić, że tego wymaga obopólny interes.

IWAN ANTONOW: Coś podobnego... No dobrze, pokażę panu dowód, ale to tylko dlatego, że pan ma średnie wykształcenie... *(pokazuje dowód osobisty)*

CEKOW: Najuprzejmiej dziękuję. *(pokazuje mu swój dowód)* Cekow, specjalista do spraw sztuki. Proszę się nie gniewać, to wynika z charakteru mojej pracy. Muszę działać na sprawdzonym gruncie. Ten pan, co śpi, to pański przyjaciel?

IWAN ANTONOW: Nie. Docent. Przynajmniej tak się przedstawił. Jego też mógłby pan wylegitymować.

CEKOW: Nie jest pańskim krewnym, prawda?

IWAN ANTONOW: Tego by brakowało. Śpi tutaj ze względu na łaźnię. Pilnuje jej, boi się, że ją zniszczę. To on ją odkrył, albo raczej był pierwszym, który się tu zjawiał po jej odkryciu.

Cekow podchodzi na palcach do śpiącego, powoli podnosi koc, patrzy. Wraca do Iwana Antonowa.

CEKOW: Ananiew.

IWAN ANTONOW: Docent Ananiew.

CEKOW: Chciałbym, aby treść tej rozmowy pozostała tylko między nami. Jak pan myśli, czy on rzeczywiście śpi?

IWAN ANTONOW: Kto go tam wie. Może tylko leży z zamkniętymi oczami.

CEKOW: Na wszelki wypadek będziemy mówić cicho. I przejdźmy tu dalej. Gdyby się przypadkiem obudził, to proszę mu powiedzieć, że jestem pańskim kuzynem i że właśnie przyjechałem z Łukowitu.

IWAN ANTONOW: Czy będzie miało znaczenie, jeśli pomyłę Łukowit z innym miastem?

CEKOW: Nie, wszystko jedno.

IWAN ANTONOW: Doskonale.

CEKOW: Proszę pana, wygląda pan na człowieka inteligentnego...

IWAN ANTONOW: Czasami wygląd myli.

CEKOW: Nie, jest pan inteligentnym człowiekiem i dlatego nie ma pan żadnych szans. Jaka jest pańska sytuacja? Sam pan widzi: dom zrujnowany, meble w rozsypce, pośrodku jedyne go pokoju rzymski basen...

IWAN ANTONOW: Z matronami.

CEKOW: Matrony nie zmieniają sytuacji. Nawet ją komplikują. I ten oto rzymski basen z epoki Gala Lucjusza i Pompiliusza jest jedynym zachowanym i odkrytym dotychczas na świecie. Jest on unikatowy i co do tego nie powinien pan żywić żadnych złudzeń.

IWAN ANTONOW: Nie żywię.

CEKOW: To świetnie. Ten basen zacznie przyciągać uwagę i zainteresowanie. Podobnie jak cerkiew w Bojanie i grobowiec tracki w Kazanłyku. Uczeń z

całego świata rzucają się na niego jak muchy na miód, to przecież szkoła samego Marka Antoniusza Oktawiana...

IWAN ANTONOW: Czy pan naprawdę ma tylko średnie wykształcenie?

CEKOW: Siedem trójek, trzy czwórki, jeden poprawkowy. Maturę otrzymałem dzięki przekupstwu, sam pan wie – te burżuazyjne szkoły!... Ale mniejsza o to – rzecz w tym, że ta oto rzymska łaźnia zostanie uznana za zabytek kultury o znaczeniu światowym. Na pewno włączy się też UNESCO i wtedy leży pan na cztery łopatki.

IWAN ANTONOW: Myśli pan?

CEKOW: Jestem pewny. Znam UNESCO – jak raz złapie, to nie popuści. Powtarzam to, co powiedziałem na początku: nie ma pan żadnych szans. Zaczną kopać w kuchni, rzucają się na ubikację...

IWAN ANTONOW: Nie! Na ubikację nie... Myśli pan? Na ubikację też?

CEKOW: Pracuję z UNESCO od lat. Znam ich jak własne pięć palców. Zresztą znam i naszych – też nie żartują. Mowy nie ma, żeby przepuścili. Wtedy będzie pan musiał biegać do publicznego szaletu. A sam pan wie, w jakim stanie są dzisiaj publiczne szalety...

IWAN ANTONOW: Tak... w strasznym.

CEKOW: Nie ma papieru. Jest brudno. Prawie zawsze jest zajęte. Co mam zresztą opowiadać – tragedia, prawdziwa tragedia.

IWAN ANTONOW: *(kiwa głową)* Tragedia... Chyba się rusza.

CEKOW: No więc w Łukowicie... *(patrzy na Docenta)* Odwrócił się na drugi bok. Ciekawe, czy on rzeczywiście śpi?

IWAN ANTONOW: Kto go wie, po nim się można wszystkiego spodziewać.

CEKOW: *(po uważnej obserwacji)* Chyba śpi... I co najgorsze – nie działają jak należy.

IWAN ANTONOW: Co?

CEKOW: Szalety publiczne. Co dwa dni remont! Albo inwentaryzacja! Albo mają dzień wolny. Wyobraża pan sobie – człowiek biegnie, powodowany szlachetnymi pobudkami, a tam dzień wolny. Nie, to okropne!...

IWAN ANTONOW: Muszę przyznać, że nakreślił pan przerażający obraz, aż mnie dreszcze przeszły.

CEKOW: To jeszcze nic. Przecież pana najzwyczajniej w świecie wyrzucą.

IWAN ANTONOW: Jak to wyrzucą? *(nie rozumie)*

CEKOW: *(pokazuje)* Jak szmatę.

IWAN ANTONOW: Myśli pan, że aż do tego dojdzie?

CEKOW: Widzę to, mam ten obraz przed oczyma, mogę go panu opisać z najdrobniejszymi szczegółami.

IWAN ANTONOW: Ale chyba dadzą mi inne mieszkanie, wypłacą jakieś odszkodowanie.

CEKOW: *(śmieje się)* Panie Antonow, jako inteligentny człowiek nie ma pan oczywiście zielonego pojęcia o problemie mieszkaniowym. Nie toleruje pan nawet wyrazu „łapówka”, brzydzi się pan lizusostwem i chyba za nic w świecie nie padłby pan na kolana i nie ucałował ręki kierownika, od którego zależy sprawa pańskiego mieszkania, prawda?

IWAN ANTONOW: A to niby czemu mam mu całować rękę?

CEKOW: Gdyby pan prowadził małą gastronomię lub płacił podatek za działalność gospodarczą, to sprawa wyglądałaby całkiem inaczej i wcale bym

się o pana nie martwił. Pojechałby pan sobie po prostu do swojej podmiejskiej willi, odetchnąć świeżym powietrzem. Ale pan jest inteligentem, nie posiadającym nawet willi. Proszę przyznać, że pan nie posiada willi.

IWAN ANTONOW: Nie posiadam.

CEKOW: Sam pan widzi. Jest pan zgubiony. Właściwie to ja w związku z tym tu przyszedłem. Czy nie wydaje się panu, że to ucho ma większe od drugiego, jakby je nastawił i podsłuchiwał?

IWAN ANTONOW: *(on też patrzy)* Które?

CEKOW: To od naszej strony.

IWAN ANTONOW: Ale nie widzę tego drugiego, żeby porównać.

CEKOW: Wszystko jedno. Krótko mówiąc sytuacja jest następująca: odbierają panu dom i zostaje pan na ulicy.

IWAN ANTONOW: Nie wierzę. W najgorszym razie dadzą mi inne mieszkanie.

CEKOW: W najlepszym razie obiecują je panu. Obiecują tysiącom ludzi, a dają... Panie Antonow, problem mieszkaniowy jest dla mnóstwa ludzi problemem całkowicie nierozwiązywalnym!

IWAN ANTONOW: Ale ja...

CEKOW: Wiem, wiem. Będzie pan walczył, składał zażalenia, pisał skargi, wysiadywał w poczekalniach. Będzie pan mieszkał w wynajmowanym pokoju i płacił nieprawdopodobne sumy. Pojęcia nie mam, kto to zdzierstwo mianował swobodnym czynszem – sto dwadzieścia lewów za pokój z kuchnią. A jeśli jeszcze jest winda, która oczywiście stale zatrzymuje się między piętrami – wtedy sto czterdzieści.

IWAN ANTONOW: A to czemu?

CEKOW: Takie jest prawo. Zwyczajka za emocje związane z wiszeniem nad przepaścią. Za silne przeżycia także się płaci – całkiem jak za telewizor. Zresztą za wszystko są zwyczki: za widok, za tradycyjne budownictwo, za windę... W Łukowicie wszystko w porządku, ciocia przysyła ci pozdrowienia i pyta, kiedy przyjedziesz z wizytą...

Docent zaczął się właśnie poruszać i czujne oko Cekowa natychmiast to dostrzegło. Gwałtownie mruga na Iwana Antonowa, daje mu ukradkiem znaki, ale Iwan nic nie rozumie.

IWAN ANTONOW: Jaka ciocia? Czyja ciocia?

CEKOW: No, kuzynie, na mnie czas...

Iwan patrzy na niego ze zdumieniem, potem się odwraca i widząc Docenta pojmuję, o co chodzi.

CEKOW: Podprowadź mnie kawałek, bo nie mogę się rozeznąć w tych ulicach...

Wyszędłszy na ulicę zatrzymują się przed kolumnką na postoju taksówek. Cekow opiera się na niej.

CEKOW: Nie przyszedłem po to, żeby żądać. Przyszedłem, żeby dawać.

IWAN ANTONOW: Co dawać?

CEKOW: Antonow, jest pan inteligentnym człowiekiem. I nie ma pan żadnych szans. Ta rzymska łaźnia pana zrujnuje. Zabiorą panu dom, to pewne jak dwa razy dwa. Ma pan przed sobą tylko jedną szansę, żeby zmienić stratę w zysk.

IWAN ANTONOW: A mianowicie?

CEKOW: Musi pan mi zaufać. Teraz na Zachodzie mądrzy ludzie, a tam mądry znaczy bogaty, lokują miliony w dziełach sztuki. Obrazy, ikony, rzeźby antyczne, wazy... Ich cena nigdy nie spada, wprost przeciwnie, rośnie. Dzieło sztuki nie wymaga ani jedzenia, ani picia, ani nie organizuje się w związki zawodowe – siedzi cichutko w kąciku i rośnie w cenę. Całymi dniami robi tylko to jedno – rośnie w cenę. I ta cena poszła już dość wysoko, Antonow, wręcz zadziwiająco wysoko. Cena to pieniądze, a człowiekowi w dzisiejszych czasach potrzebne są właśnie pieniądze. Szczęście nie polega na pieniądzach – może i to racja, ale też na pewno nie polega na ich braku.

IWAN ANTONOW: Widzę, że zaczynamy rozmawiać o sensie życia.

CEKOW: Tak, o sensie. Jaki to ma sens, żeby pan mieszkał w tym rozkopanym i narażonym na dalsze rozkopywanie domu? Dlaczego nie miałby pan mieszkać nad brzegiem Lago di Como? Przecież jest pan inteligentnym człowiekiem?

IWAN ANTONOW: Sądzi pan, że to wystarczy, by mieszkać nad brzegiem Lago di Como?

CEKOW: Dla innych – nie. Ale dla pana wystarczy. Całkowicie wystarczy. Wie pan co, Antonow, widzę pana na tle willi, będącej przy tym pańską własnością, nad brzegiem Lago di Como. Albo też w Szwajcarii jako właściciela solidnego rachunku w banku. W Szwajcarii także są jeziora, przy tym nie gorsze niż Lago di Como.

IWAN ANTONOW: Czemu mi pan bez przerwy opowiada o tym Lago di Como? Przecież to nie to samo, co Zalew Pancerzewski. Jak ja mam pojechać nad Lago di Como?

CEKOW: (*rozejrzawszy się*) Wystarczy przenieść łaźnię rzymską.

IWAN ANTONOW: Doskonale! A dokąd?

CEKOW: Za granicę. Do Włoch. A tam wezmą ją inni, najpewniej Amerykanie, oni są teraz najbogatsi. O to niech się pan nie martwi. Zawsze się znajdzie amator jedynej na świecie rzymskiej łaźni z czasów Gala Lucjusza i Pompiliusza. W dodatku z matronami. Zedrzymy z nich za te matrony, zapłacą jak za zboże. Ale na biednych nie trafiło.

IWAN ANTONOW: Ale jak ją mamy przenieść? Na razie jest w moim mieszkaniu.

CEKOW: Właśnie dlatego ją przeniesiemy, że jest w pańskim mieszkaniu. Kiedy się znajdzie w muzeum, to koniec! Będą jej pilnować jak skarbu narodowego. Dlatego trzeba działać szybko, póki się jeszcze nie zorientowali. Oni działają powoli, pisma, wezwania, numer wchodzący, numer wychodzący... A tymczasem my wystąpimy z naszym własnym numerem. Niech pan będzie spokojny, Antonow, tymi rzeczami zajmuję się nie od wczoraj. Można powiedzieć, że wyeksportowałem połowę mogił neolitycznych w Bułgarii. Gdyby zebrać wszystkie trackie grobowce i obrzędowe przedmioty grzebalne, które wywozłem za granicę, zrobiłby się z tego taki grobowiec, że mucha nie siada. Miałem wywieźć też tę rzymską willę, którą odkryto w Rodopach, ale zanim pojechałem, nie został z niej już kamień na kamieniu.

IWAN ANTONOW: Więc pan się zajmuje...

CEKOW: Tak. Zajmuję się dziełami sztuki. Ikony, rzadkie książki, ikonostasy, amulety z czasów trackich i rzymskich... co się trafi. Ale to jest nic w

porównaniu z łaźnią, Antonow. Łaźnia to będzie nasze wielkie uderzenie, weźmiemy za nią najmniej milion, taniej nie oddamy. I potem nad Lago di Como.

KOLUMIENKA: (*niespodziewanie się odzywa*) Dość już tego Lago di Como, mów dalej.

CEKOW: (*zaskoczony, rozgląda się*) Mówił pan coś? Tak jakbym usłyszał jakiś głos...

IWAN ANTONOW: Ale w takim razie trzeba by ją chyba zniszczyć. Żeby potem wywozić po kawałku.

CEKOW: Drobiazg. Pokrajemy ją na kawałki jak tort.

IWAN ANTONOW: A jeśli się rozpadnie?

CEKOW: Nie rozpadnie się, Antonow, ja wykorzystuję ostatnie osiągnięcia nauki. Prenumeruję przecież pisma fachowe! Ludzie pokrajali w kawałki całe świątynie, a nam by się miało nie udać z jedną łaźnią?... Pokrajemy i wywieziemy.

KOLUMIENKA: A jeśli cię złapią?

CEKOW: (*zamiera, rozgląda się uważnie*) Znowu ten głos. Antonow, a może to panu się tak zmienia tembr głosu?

IWAN ANTONOW: Nie, nie zauważyłem.

CEKOW: Ktoś spytał: „A jeśli cię złapią?”

IWAN ANTONOW: Nie, ja myślałem o czymś innym.

CEKOW: To nie była myśl, tylko głos.

IWAN ANTONOW: Niech pan posłucha, Cekow. Cokolwiek byśmy mówili, ta rzymska łaźnia należy jednak państwa.

CEKOW: A niby czemu ma należeć do państwa? Może państwo ją wybudowało?

IWAN ANTONOW: Takie są przepisy.

CEKOW: Wiem. Tylko zgodnie z jakimi przepisami rozkopali panu mieszkanie?

IWAN ANTONOW: To się stało przypadkowo.

CEKOW: Nic się nie dzieje przypadkowo, Antonow. Przekładkowo to się można tylko ożenić.

Iwan Antonow milczy, jest zamyślony. Cekow patrzy na niego z niepokojem.

CEKOW: Daj pan spokój z tymi skrupułami. Przecież jest pan inteligentnym człowiekiem. Nie ma co się tyle zastanawiać nad głupią łaźnią. Czy nad pana losem ktoś się zastanawia? A ile grobowców i rzymskich osad poszło pod buldożery, ile nekropoli wysadzono w powietrze, ile teatrów zniszczono – i teraz tyle hałasu o jedną rzymską łaźnię. Przecież to wszystko dla jej dobra. My ją przynajmniej ocalimy dla ludzkości. Nie zostanie zniszczona, będzie stała w muzeum, no, ewentualnie w jakichś prywatnych zbiorach, w ten sposób uratujemy dzieło sztuki. Niech pan pomyśli o sztuce, Antonow! To przecież szlachetna inicjatywa. I przy tym opłacalna, co czyni ją jeszcze szlachetniejszą. Zarobimy po pięćset tysięcy dolarów!...

KOLUMIENKA: Przepraszam, jak pan powiedział? Pięćset tysięcy? Dolarów?

CEKOW: Coś podobnego, żeby kolumnienka mówiła ludzkim głosem.

IWAN ANTONOW: O, ta już dawno mówi.

CEKOW: Ja chyba najlepiej pójdę, bo...

KOLUMIENKA: Dwadzieścia procent! Dla mnie dwadzieścia procent! I koniecznie we frankach szwajcarskich! Dolar jest bardzo niestabilny!

CEKOW: Wszystko jeszcze palcem po wodzie pisane, a ta zaraz o procentach. Widzi pan, Antonow, proszę brać przykład. Ta kolumnienka łapie wiatr szybciej niż pan.

IWAN ANTONOW: Maszyny w coraz większym stopniu zastępują człowieka.

CEKOW: (*rozgląda się niespokojnie*) Antonow, niech się pan dobrze zastanowi. Drugiej takiej szansy nie będzie.

KOLUMIENKA: Najlepiej wziąć taksówkę!

CEKOW: No, ja już idę. Niedługo znów zajrzę. I niech pan nie przyjmuje innych propozycji, będą chcieli pana oszukać. Proszę nie zwlekać z decyzją, bo nie mamy czasu do stracenia. (*odbiega w lewo*)

KOLUMIENKA: Dokąd to?

CEKOW: Właśnie, dokąd?!! (*wychodzi*)

Iwan Antonow wchodzi do własnego rozkopanego mieszkania. Docent goli się maszynką elektryczną, gra radio.

IWAN ANTONOW: Przed wyjściem proszę nie zapomnieć o zostawieniu mi dwóch lewów i pięćdziesięciu stotinek. Za nocleg. Biorę dziesięć procent za rzymską łaźnię, tyle co na działalność rozrywkową.

DOCENT: Ani mi w głowie wychodzić. Moja praca tutaj dopiero się zaczyna.

IWAN ANTONOW: A jeśli pana wyrzucę?

DOCENT: Nie uda się to panu. Trenowałem judo.

IWAN ANTONOW: (*krzyczy*) Na jakiej podstawie siedzi pan w moim domu? Mój dom znajduje się pod ochroną konstytucji!...

DOCENT: Proszę bardzo. Oto dokument o rozpoczęciu prac wykopaliskowych. A tu drugi – o ich rozszerzeniu na obszar kuchni i ubikacji.

IWAN ANTONOW: (*czyta*) Pieczęć, podpis... Ale to przecież jest prywatne mieszkanie... Z jakiej racji?

DOCENT: To jest obiekt. I jeśli pan zauważył, kierownikiem robót jestem ja.

IWAN ANTONOW: Wniosę zażalenie.

DOCENT: Oczywiście. W normalnym trybie będą panu potrzebne dwa miesiące, by doprowadzić do zwołania rady naukowej, która wyznaczy komisję w celu zbadania sprawy. Komisja badać ją będzie przez miesiąc i zażąda przynajmniej dwóch dodatkowych miesięcy na sformułowanie stanowiska...

IWAN ANTONOW: Dwóch miesięcy?

DOCENT: To są naukowcy, profesorowie, ludzie niesłychanie zajęci – dzisiaj są tutaj, jutro na kongresie w Berlinie, pojutrze na sympozjum we Włoszech. Potem, jeśli decyzja komisji będzie przychylna dla pana, ja wystąpię z naukowo uargumentowanym odwołaniem, liczącym kilkadziesiąt stron. Najpierw rozpatrzy je komisja, potem znowu będzie się musiała zebrać rada naukowa...

IWAN ANTONOW: (*przerywa mu ze złością*) A może pan nie wie, ile lat dostaje się za zabójstwo z premedytacją? Jeśli zabójca sam się odda w ręce władz?

DOCENT: Nie radzę panu. Mam bardzo silny organizm, a moja grupa krwi jest jedną z najpopularniejszych. Próba zabójstwa tylko przedłuży całą sprawę.

IWAN ANTONOW: Nie ma pan sumienia?

DOCENT: Mam wyższe wykształcenie.

IWAN ANTONOW: (*krzyczy*) W takim razie proszę mi dać inne mieszkanie!

DOCENT: Zajmujemy się wyłącznie rzeczami pochodzącymi sprzed ponad tysiąca lat.

IWAN ANTONOW: A człowiekiem w średnim wieku, który chce mieszkać normalnie, nic więcej, kto się zajmuje? Kto się zajmuje człowiekiem?

DOCENT: (*wzrusza ramionami*) Nie wiem, to nie moja dziedzina. Proszę dzwonić do biura informacji.

W tym momencie do holu wchodzi stosunkowo młody człowiek – Ratownik.

RATOWNIK: Przepraszam, czy basen to tutaj?

IWAN ANTONOW: Tak, tutaj.

DOCENT: (*surowo*) O jaki basen panu chodzi?

RATOWNIK: Ten, co o nim był program w telewizji. Skierowano mnie jako ratownika do nowo odkrytego basenu.

DOCENT: Jako kogo?

RATOWNIK: Ratownika. Przy wszystkich basenach, na plażach i przy zbiornikach wodnych muszą być ratownicy. Ratujemy kąpiących się.

DOCENT: Ratujecie kąpiących się?

RATOWNIK: Kąpiący się stanowi najcenniejszy kapitał. Tak pisze w statucie naszej służby wodno-ratowniczej. *(wychodzi)*

DOCENT: W tym basenie nikt się nie będzie kąpał. Ani pływał.

RATOWNIK: *(wchodzi, niosąc parasol w pokrowcu i brezentowy składany stołeczek)* Jak to?

IWAN ANTONOW: Czy pan nie widzi, że nikt się nie może w nim utopić. Jest za mały.

RATOWNIK: Utopić się można nawet w miednicy. *(rzuca pokrowiec na podłogę, siada na stołeczku)*

DOCENT: Tu zaszło jakieś nieporozumienie. To nie jest basen pływacki, tylko rzymska łaźnia, zabytek kultury sprzed setek lat...

RATOWNIK: Mam w kieszeni skierowanie. *(klepie się po kieszeni)*

DOCENT: Ale on w ogóle nie zostanie napełniony wodą. Prowadzone tu będą tylko prace naukowo-badawcze.

RATOWNIK: To już nie moja rzecz. Do mnie należy ratowanie.

DOCENT: Tutaj ratownik w ogóle nie jest potrzebny.

RATOWNIK: A może jest potrzebny.

DOCENT: Zobaczymy!

RATOWNIK: Teraz, kiedy znajdujemy się u szczytu sezonu pływackiego, kiedy stoi przed nami zadanie wyszkolenia tysięcy nowych pływaków, wy chcecie zamknąć basen? Przy tak ciężkiej sytuacji w naszym sporcie pływackim?

IWAN ANTONOW: (*przerażony*) Chcecie tutaj szkolić pływaków?!!...

DOCENT: W tym konkretnym wypadku rzecz w tym, że...

RATOWNIK: (*przerywa mu*) Problem nie dotyczy konkretnego wypadku. Problem jest pryncypialny. Nikt nie będzie chciał z panem rozmawiać słysząc, że chodzi o zamknięcie basenu. Wszystko jedno, rzymskiego czy węgierskiego. Mamy bardzo złą sytuację po linii basenów.

DOCENT: Zobaczymy.

RATOWNIK: Mówię do pana jak do przyjaciela – to tylko strata czasu. Na olimpiadę zaplanowaliśmy dziesięć złotych medali za pływanie. Zostało podjęte specjalne zobowiązanie.

DOCENT: Nie jestem pana przyjacielem. I nie interesuje mnie olimpiada. Jeśli wpuścicie do basenu choć kroplę wody, wytoczę wam proces. I nikt wam wtedy nie pomoże. Nazywam się Ananiew, docent Ananiew, proszę to dobrze zapamiętać. (*bierze teczkę i wychodzi*)

RATOWNIK: (*do Iwana Antonowa*) Pan też jest docentem?

IWAN ANTONOW: Nie, ja jestem Iwan Antonow.

RATOWNIK: I też pan się zajmuje tym basenem?

IWAN ANTONOW: Nie. Miałem nieszczęście urodzić się w tym domu. Tutaj mieszkam.

RATOWNIK: (*przemierza pokój, jakby czegoś szukał*) Dlaczego nieszczęście? Dom nie jest zły. Mnie się przynajmniej podoba.

IWAN ANTONOW: Mamy jednakowy gust – mnie też. Tylko, że trochę mi go rozkopali.

RATOWNIK: *(uspakajająco)* Teraz wszędzie kopią – jeśli nie na ulicach, to w domach. Niech się pan nie martwi.

IWAN ANTONOW: I tak już nie ma czym.

RATOWNIK: Tak, chyba tutaj. Można pana prosić?

Wychodzą. Po chwili zza sceny słychać krzyki Iwana Antonowa, który najwyraźniej z czymś się nie zgadza: „Nie, nie, tego jeszcze brakowało, proszę to zostawić!”. Po chwili wnoszą razem wieżę ratowniczą, taką, jakie stoją na wszystkich plażach nad Morzem Czarnym. Na wieży sterczy maszt do chorągwi.

IWAN ANTONOW: Na co tutaj ta wieża?

RATOWNIK: Gdzie by ją postawić... *(rozgląda się)* Wieża jest zgodna z regulaminem. Musi tu być. Zapewnia lepszą widoczność. Może tutaj...

IWAN ANTONOW: Proszę posłuchać, czy pan poważnie...

RATOWNIK: Nie, tutaj za ciemno, najlepiej naprzeciwko okna. *(przenoszą wieżę)*

RATOWNIK: O, tutaj.

IWAN ANTONOW: Nie, nie, tutaj rozstawiam łóżko! Słyszysz pan?

RATOWNIK: *(ignoruje protesty Iwana Antonowa)* Doskonale.

IWAN ANTONOW: Proszę pana, ja nie mam nic przeciwko sportowi pływackiemu, ale też nie życzę sobie, byście szkolili tysiące nowych pływaków w moim mieszkaniu.

RATOWNIK: A to dlaczego?

IWAN ANTONOW: Jakby tu panu powiedzieć, czasami śpię... Czasami mam ochotę pobyć trochę sam... Pracuję... Będę przeszkadzał pływakom.

RATOWNIK: Proszę się nie martwić. Sportowcy muszą mieć zdrową psychikę. Niech się przyzwyczajają.

IWAN ANTONOW: Ja martwię się bardziej o swoją psychikę.

Ratownik wszedł na rusztowanie nad rzymską łaźnią. Rozkłada ręce i szykuje się do skoku, jak z wieży.

RATOWNIK: Trzeba uprawiać sporty, proszę pana.

IWAN ANTONOW: Nie, nie! Jeszcze skoczy!... (*biega pod rusztowaniem*)
Trzeba natychmiast coś zrobić, trzeba działać. Inaczej dojdzie do tego, że jutro zjawi się w mojej rzymskiej łaźni cała szósta flota amerykańska!!!

Kurtyna

AKT DRUGI

Mieszkanie Iwana Antonowa. Wygląda jak poprzednio – rusztowanie z metalowych rur otaczające łaźnię rzymską, rozkopana podłoga, w podłodze dziury, na rusztowaniu leżą ubrudzone wapnem deski, deski są i nad łaźnią. W jednej z dziur kopie Docent, kontynuując prace wykopaliskowe. Pośrodku, za łaźnią wznosi się wieża ratownicza. Na maszcie wisi biała chorągiew. W jej dolnej części wisi czarna tabliczka, na niej narysowanych jest kredą sześć kresek. Nad wieżą rozpostarto kolorowy plażowy parasol. Na podłodze wokół wieży – szpula z nylonową liną, kule w siatkach z linami, czerwone pasy ratownicze, po całym holu rozrzucone są boje. Na wieży siedzi Ratownik w żółtym płaszczu kąpielowym, patrzy przez lornetkę. Na dole obok niego gra radio tranzystorowe.

RATOWNIK: Iwanowa szykuje potrawkę w jarzynach... Lubi pan potrawkę w jarzynach, panie docencie?

Ananiew kopie i nie odpowiada.

RATOWNIK: A ta studentka z piątego piętra znowu ma gości. Zaciąga firankę. Ciekaw jestem, kiedy się ci ludzie ucą, co, panie docencie?

Docent dalej kopie w milczeniu.

RATOWNIK: *(dalej obserwuje przez lornetkę)* Dalewa zbiła talerz. *(robi kredą kolejną kreskę na tablicy)* To już siódmy w tym tygodniu... Wyjątkowa niezdarą... Na czwartym piętrze nic nadzwyczajnego, babcia mamle to swoje jabłko... Lubi pan jabłka, panie docencie?

Docent kopie, nie odpowiadając i nie zwracając na niego uwagi.

RATOWNIK: *(opuszcza lornetkę i patrzy na Docenta)* Nie docenia pan ratowników, panie docencie. A ratownicy to też ludzie.

Docent w milczeniu kontynuuje kopanie.

RATOWNIK: Może pana uratować, co panie Docencie? Nie chce pan ze mną rozmawiać. Dlaczego?

Docent kopie, odwrócony plecami do Ratownika.

RATOWNIK: *(obserwuje)* Kopie pan i kopie jak ten Hamlet!

DOCENT: *(przerywa kopanie, ociera pot)* Co za brednie!...

RATOWNIK: Dlaczego brednie? Widziałem ten film – zupełnie tak samo. Tylko że tam była jeszcze czaszka.

DOCENT: A tutaj jest ratownik. Na basenie bez wody, o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych.

RATOWNIK: Taka jest obsada etatowa.

DOCENT: Przejadacie państwowe pieniądze.

RATOWNIK: Przejadamy, ale przynajmniej ratujemy, podczas gdy wy rozkopujecie.

DOCENT: Jeśli jest pan uczciwym ratownikiem, to powinien pan przejść na normalny basen, gdzie przynajmniej jest woda. Powie pan, że zaszło nieporozumienie.

RATOWNIK: Ja dostałem nakaz tutaj i tyle. Ani myślę się wychylać. Może pan chce, żebym sam złożył wymówienie?

DOCENT: Prawdziwy ratownik na pewno by tak postąpił.

RATOWNIK: Składanie wymówienia to przesąd burżuazyjny. U nas wymówień się nie składa. Słyszał pan, żeby kiedy kto sam złożył wymówienie? Na pewno nie. I nie usłyszysz pan. Czemu ja mam być pierwszy?

Jego pytanie pozostaje bez odpowiedzi, bo w tym momencie do holu wchodzi Diamandijew, mężczyzna w starszym wieku.. Idzie wolnym krokiem, znamionującym pewność siebie, bezceremonialnie ogląda hol, nie zwracając uwagi na Docenta i Ratownika, którzy w milczeniu go obserwują. Dochodzi do rzymskiej łaźni i pochyla się nad basenem.

RATOWNIK: (gwizdże gwizdkiem) Nie pochylać się nad basenem!

Diamandijew cofa się, potem próbuje zejść do basenu.

RATOWNIK: *(znowu gwiżdże)* Osobom w ubraniu wstęp do basenu wzbroniony!

Diamandijew patrzy na niego posepnie i wychodzi z basenu.

DOCENT: *(ostro)* Czego pan sobie tutaj życzy?

DIAMANDIJEW: Kim pan jest?

DOCENT: Chyba to pan powinien pierwszy się przedstawić.

DIAMANDIJEW: Iwan Antonow?

DOCENT: Nazywam się Ananiew. Docent Ananiew. Kieruję pracami wykopaliskowymi. Osobom postronnym wstęp na obiekt jest surowo wzbroniony.

DIAMANDIJEW: Czy ten basen rzeczywiście pochodzi z czasów rzymskich?

DOCENT: Specjalnie pan przyszedł, żeby się o to dowiedzieć?

DIAMANDIJEW: Szukam właściciela tego domu, Iwana Antonowa.

DOCENT: W jakiej sprawie?

DIAMANDIJEW: Osobistej.

DOCENT: A czemu pan pyta o rzymską łaźnię?

DIAMANDIJEW: Czemu miałbym nie pytać?

RATOWNIK: O, już idzie. *(wchodzi Iwan Antonow, jest wyraźnie zmęczony)*
Ten pan do pana.

IWAN ANTONOW: *(do Diamandijewa)* A gdzie są delfiny?

DIAMANDIJEW: Jakie delfiny? *(przygląda się basenowi i dziurom w podłodze)*

IWAN ANTONOW: *(do Ratownika)* Ten facet nie jest z cyrku? *(do Diamandijewa)* Pan nie jest z cyrku?

DIAMANDIJEW: Nie.

IWAN ANTONOW: Chwała Bogu. Podobno poszukiwał mnie jakiś treser delfinów. Chciał wynająć basen. Teraz tylko delfinów mi brakuje.

DIAMANDIJEW: Nazywam się Diamandijew. I chciałbym z panem porozmawiać.

IWAN ANTONOW: Dobrze.

DIAMANDIJEW: W cztery oczy.

IWAN ANTONOW: W ile pan chce. *(przechodzą na lewo)*

CEKOW: *(niespodziewanie wychyla głowę z jednej z dziur w podłodze)*
Antonow, niech pan się nie zgadza!... *(chowa się)*

Obaj rozglądają się, Antonow jest skonsternowany, odchodzą jeszcze dalej w lewo. Właśnie Diamandijew zabiera się do mówienia, kiedy z sąsiedniej dziury pojawia się Docent. Demonstracyjnie coś czyści szczotką, ale nadśluchuje. Iwan Antonow zastanawia się, gdzie iść, proponuje Diamandijewowi wejść na rusztowanie, które jest wzniesione na kozłach po drugiej stronie basenu.

IWAN ANTONOW: Proszę bardzo!... *(rusza pierwszy, Diamandijew idzie za nim)*

Zatrzymują się w miejscu, gdzie się wydaje, że nikogo nie ma.

DIAMANDIJEW: Jestem pośrednikiem sprzedaży nieruchomości, może pan słyszał, Diamandijew moje nazwisko, kupiłem i sprzedałem pół Sofii.

IWAN ANTONOW: I teraz zostaje panu drugie pół.

DIAMANDIJEW: To także zaplanowałem. Pracuję z rozmachem. Mieszkania co najmniej czteropokojowe, pełny komfort i tak dalej. Kominki, specjalne oświetlenie, sadzawki i okładziny marmurowe, sale gimnastyczne.

IWAN ANTONOW: Sport to zdrowie.

DIAMANDIJEW: U mnie... *(przerywa, bo widzi, że Iwan daje mu znaki – w dole, w jednej z dziur, znowu się znowu Docent)*

Iwan Antonow wzdycha, rozgląda się i proponuje gestem Diamandijewowi, by przeszedł po desce aż do na łóżka, które stoi na rusztowaniu z rur, dwa metry nad ziemią.

IWAN ANTONOW: Proszę tędy!...

DIAMANDIJEW: Tam? *(rusza, mija na desce Antonowa, siada na łóżku)*
Dziękuję. U mnie, panie Antonow, nie ma przypadkowych klientów. Biorę piętnaście procent, ale klient otrzymuje dokładnie to, czego sobie życzy. U mnie można dostać takie mieszkanie, jakiego pan nigdzie nie znajdzie.

Z prostokątnego otworu w podłodze, znajdującego się tuż pod łóżkiem, wychyla się Docent i nastawia ucha. Iwan Antonow spostrzega go i łapie się za głowę. Diamandijew idzie za jego spojrzeniem. Na widok Docenta krzywi się, potem gestem proponuje, by przejść po łóżku, a następnie po drabinie i wyjść na zewnątrz, gdzie się da spokojnie porozmawiać. Tak też robią.

DIAMANDIJEW: *(schodząc po drabinie)* Że też człowiek musi pracować w takich warunkach!

Idą w stronę drzwi, ale tam pojawia się Ratownik, który wrzuca do basenu koło ratunkowe z linką asekuracyjną. Zawracają i siadają na krzeselkach przy biurku.

DIAMANDIJEW: A więc, panie Antonow...

IWAN ANTONOW: Tak, słucham.

DIAMANDIJEW: Właśnie mi się trafił specjalny klient, który chce czegoś super. Ma forszę, ale też wymaga. Gotów jest dobrze zapłacić.

IWAN ANTONOW: I czego wymaga?

DIAMANDIJEW: Chce dostać pańskie mieszkanie. Dowiedział się o łaźni.

IWAN ANTONOW: Moje mieszkanie? Ma pan na myśli cały ten bajzel naokoło?

DIAMANDIJEW: Tak.

IWAN ANTONOW: Ma fioła na punkcie rozkopanych mieszkań?

DIAMANDIJEW: Nie. To człowiek, który mógłby kupić nas obu. Robi w materiałach budowlanych i ma tyle pieniędzy, że nawet ja się krępię o tym mówić.

IWAN ANTONOW: Skoro pan się krępi, to proszę nie mówić.

DIAMANDIJEW: Jego żona chce mieć mieszkanie z łaźnią rzymską. Słyszała, że jest to jedyna łaźnia na świecie.

IWAN ANTONOW: Aha. Ale muszę pana rozczarować! Tego mieszkania nie można kupić. To znaczy nie można razem z łaźnią.

DIAMANDIJEW: Nie ma rzeczy, której by nie można kupić. Problem jest w tym, za ile.

IWAN ANTONOW: Widzi pan, ta łaźnia jest jedyna na świecie. Zabytek kultury o znaczeniu ogólnoświatowym. Instytut zaczął prace wykopaliskowe, teraz właśnie rozkopują mi ubikację.

DIAMANDIJEW: Nie szkodzi. Wytoczmy instytutowi proces. Z formalnego punktu widzenia jest to możliwe – dom stanowi własność prywatną, jeszcze nie wszystko zostało wyjaśnione. Proces z trzema adwokatami. Proszę to pozostawić mnie.

IWAN ANTONOW: Poza tym jest jeszcze ratownik z wydziału kultury fizycznej...

DIAMANDIJEW: Wytoczmy proces kulturze fizycznej. Z trzema adwokatami.

IWAN ANTONOW: No i ta łaźnia rzymska należy chyba do państwa. I do ludzkości, jak mówił Docent.

DIAMANDIJEW: Wytoczmy proces państwu. Ludzkości też, jeśli zajdzie potrzeba.

IWAN ANTONOW: Z trzema adwokatami?

DIAMANDIJEW: Z trzema adwokatami. Jeszcze nie było procesu, którego bym nie wygrał. Proszę mi tylko dać pisemną zgodę na sprzedaż, resztą sam się zajmę.

Zza sceny słychać gwizdek Ratownika, jego okrzyki: „Uwaga! Patrzcie na boje!”, po chwili wchodzi i sam Ratownik. Trzyma trzy boje i list.

RATOWNIK: List do pana.

Iwan Antonow czyta list, Ratownik umieszcza boje wokół basenu i na pomoście, Diamandijew dyskretnie się odsuwa.

IWAN ANTONOW: To niemożliwe.

RATOWNIK: Z rady dzielnicowej.

IWAN ANTONOW: Nie, to niemożliwe. Przez całą godzinę tłumaczyłem im, jaka jest sytuacja. Słowo po słowie. Powoli, wyraźnie – że odkryto w moim domu łaźnię rzymską, że nie mam gdzie mieszkać, że powinni wreszcie coś zrobić, aby usunąć tę łaźnię z mojego domu... I proszę, co mi na to piszą: „Szanowny obywatelu Antonow, w odpowiedzi na prośbę o uruchomienie na terenie Waszego mieszkania łaźni rzymskiej informujemy, że prośba Wasza załatwiona została odmownie na mocy punktu trzeciego, akapit 57 rozporządzenia o ograniczaniu inicjatywy prywatnej. Z wyrazami szacunku...”

DIAMANDIJEW: Pieczętka, podpis...

IWAN ANTONOW: Pieczętka, podpis.

RATOWNIK: Trzeba było na piśmie.

IWAN ANTONOW: Kiedy podanie na piśmie też zostawiłem. To niemożliwe...

DIAMANDIJEW: Wilk jest mocny, bo nie załatwia spraw w urzędach!

IWAN ANTONOW: Nie, to niewiarygodne!... Całą godzinę im tłumaczyłem!...

DIAMANDIJEW: Dostanie pan mnóstwo pieniędzy. Gotówką. A nie „wyrazy szacunku”!

CEKOW: *(wychyla się na moment z jakiejś dziury)* Antonow, niech pan pomyśli o szwajcarskim franku!... *(znika)*

RATOWNIK: *(podrywa się)* Chyba delfin!

IWAN ANTONOW: *(z roztargnieniem, wciąż jeszcze zaabsorbowany listem)*
Jaki delfin? Gdzie?

RATOWNIK: Tam. Powiedział coś.

IWAN ANTONOW: Bzdura, delfiny nie umieją mówić. Ja chyba zwariuję!...

DIAMANDIJEW: Podpisze pan pełnomocnictwo teraz, czy mam zająć jutro?

IWAN ANTONOW: Jutro, jutro. A właściwie o jakie pełnomocnictwo panu chodzi?

DIAMANDIJEW: Do sprzedaży mieszkania.

CEKOW: *(wychyla się z innej dziury)* Antonow, niech pan pamięta o Lago di Como!... *(znika)*

DIAMANDIJEW: Ja ten głos gdzieś już słyszałem!

IWAN ANTONOW: Tak?

RATOWNIK: *(przejęty)* To był delfin! *(krzyczy)* Prawdziwy delfin!

DIAMANDIJEW: Nie, ja go już słyszałem! To kiedy, panie Antonow?

IWAN ANTONOW: Co kiedy? Ach, tak! W każdym razie nie teraz, teraz nie mogę, sam pan widzi, co się tu dzieje.

DIAMANDIJEW: Niech się pan nie zastanawia! Ceny z każdym dniem spadają, zbliżają się do państwowych. I w ogóle trudno cokolwiek przewidywać.

IWAN ANTONOW: Co to, to tak!

Wchodzi Docent z kilofem w ręce i podejrzliwie patrzy na Diamandijewa. Ten jakby traci kontenans i pospiesznie zbiera się do wyjścia.

DIAMANDIJEW: To tyle, zajrzę znowu. Do jutra! *(ostatnie słowa wypowiada szeptem, wychodzi)*

DOCENT: Wie pan, zauważyłem, że odwiedzają pana nader podejrzane typy.

IWAN ANTONOW: *(wskazuje na niego)* Z kilofami!

DOCENT: Chcę tylko ostrzec. Proszę sobie nie wyobrażać, że może pan bezkarnie rozporządzać moją rzymską łaźnią. Państwo radziło sobie z wieloma cwaniakami, którzy myślą tylko o swoich własnych interesach, i poradzi sobie też z panem.

IWAN ANTONOW: A pan o czyich interesach myśli? Nauka ponad wszystko, tak? Życie, poświęcone służbie ludzkości? Żadnych korzyści, żadnych starań o własną osobę – jednym słowem bezinteresowna pszczołka!...

DOCENT: Nowoczesny człowiek musi działać, panie Antonow!

IWAN ANTONOW: Niezależnie od tego, jakie to działanie?

DOCENT: Cel usprawiedliwia środki. Zawsze znajdzie się ktoś, kto je usprawiedliwi. Chodzi tylko o osiągnięcie celu. Znam takich ludzi jak pan – siedzi pan w kątku i czeka, by ktoś zwrócił uwagę na pańską duszę, na jej niezmierzone bogactwo. Nieprzebrane skarby. Rzadkie zalety. Wrażliwe serce. Siedzi pan, czeka... I zastanawia się, czemu nikt tego nie docenia, czemu kobiety wolą innych.

IWAN ANTONOW: Jak to nikt nie docenia? Nie powiedziałbym.

DOCENT: Trzeba działać, Antonow!...

IWAN ANTONOW: Według pana człowiek potrzebuje wyłącznie paliwa, tak? Żeby działać i miażdżyć?

DOCENT: Wysoko pan się ceni, Antonow.

IWAN ANTONOW: Nie siebie – człowieka. Po prostu stawiam go wyżej niż na przykład łaźnię.

DOCENT: No dobrze, siebie czy człowieka – na jedno wychodzi. Idę kopać do ubikacji. (*rusza*) A gdzie pan stawia na przykład ubikację: wyżej czy niżej?

IWAN ANTONOW: Zależy, kto w niej kopie. W tym wypadku wyżej. I proszę uważać na sedes, bo wytoczę panu proces. Z trzema adwokatami! Prawda, że tak postępuje nowoczesny człowiek, kiedy mu rozbijają sedes?

Opada ze zmęczeniem na łóżko, stojące na pomoście, dwa metry nad ziemią. Ratownik siedzi na wieży i obojętnie patrzy przed siebie.

IWAN ANTONOW: Co za idiotyczny pomysł jechać nad morze w lecie!
Dawali mi skierowanie na styczeń i dobrze było – zimno, mało ludzi. A co najważniejsze, nic się nie działo. Najwyżej jakieś banalne zapalenie płuc. Jeden raz pojechałem z sierpniu i proszę...

Ratownik wciąga na wieżę czerwoną flagę, pisze: „12 stopni” i znów spokojnie siada.

IWAN ANTONOW: Mieszkanie pełne jakichś boi, jakichś docentów... I znikąd żadnego ratunku.

RATOWNIK: *(zrywa się)* Może pana uratować!

IWAN ANTONOW: Jeszcze ci nie obrzydło mnie ratować? Uratuj Docenta.

RATOWNIK: *(przejęty)* On nie chce. *(pogardliwie)* Wie pan, wykształcony człowiek...

IWAN ANTONOW: Ja też jestem wykształcony.

RATOWNIK: Nie! Pan jest inny! Pan jest bardziej do ludzi! Rozumie pan, przecież muszę w końcu kogoś ratować, taką mam pracę. Bo jak to inaczej wygląda – basen, ratownik, a nikogo nie uratował. Też muszę rozwijać działalność, inaczej mnie zwolnią.

IWAN ANTONOW: Nie mam ochoty być ratowanym właśnie teraz.

RATOWNIK: Czemu, moment jest odpowiedni – na wieży mamy czerwoną flagę.

IWAN ANTONOW: *(nerwowo)* Nie, tym razem nie!

RATOWNIK: I woda jest lodowata, w sam raz na skurcz mięśni.

IWAN ANTONOW: Nie lubię się topić w zimnej wodzie. Można się przeziębic.

RATOWNIK: Pan jest porządny człowiek, zawsze mnie pan rozumiał. Niech pan da się uratować, co? Załatwimy to w pięć minut. No co, idziemy? Panie Antonow, zgódź się pan, co? Idziemy? Bądź pan człowiekiem!...

IWAN ANTONOW: *(ze złością)* No dobrze, idziemy, ratuj mnie. Gdzie się mam tym razem topić?

RATOWNIK: Tam za skałami. *(energicznie zrzuca płaszcz kąpielowy)*

IWAN ANTONOW: Ale bez sztucznego oddychania! Tamtym razem o mało co mi nie złamałeś ręki!...

RATOWNIK: Będę uważał.

IWAN ANTONOW: *(zatrzymuje się obok rzymskiej łaźni)* Tutaj?

RATOWNIK: Tak.

IWAN ANTONOW: Mam skakać?

RATOWNIK: Proszę skakać.

IWAN ANTONOW: Skaczę. *(wchodzi do basenu i siada na jego dnie)*

RATOWNIK: Lepiej mieć złamaną rękę, ale zachować życie, proszę pana, ja tak przynajmniej myślę.

IWAN ANTONOW: Koniecznie musisz to zrobić?

RATOWNIK: Taka praca. Trzeba ćwiczyć, inaczej się zapomina. Zresztą już zdrętwiałem z tego siedzenia.

IWAN ANTONOW: *(woła)* Ratunkuuu! Ratunkuuu!

Siedzący na wieży Ratownik porywa lornetkę i patrzy przez nią, ale nie tam, gdzie jest Iwan Antonow.

IWAN ANTONOW: Ratunkuuu!...

Z kuchni wybiega Docent z kilofem w ręce.

DOCENT: Co się dzieje?

IWAN ANTONOW: *(mimochodem)* Topię się. Ratunkuuu!...

DOCENT: Powariowali!... *(wychodzi)*

RATOWNIK: Widzę pana! Idę! Niech się pan trzyma! Płynę do pana!...

Zeskakuje z wieży, chwytając koło ratunkowe i rzuca je do Iwana Antonowa. Potem wskakuje do basenu i imituje pływanie, leżąc na położonej w poprzek desce. Wreszcie chwytając Iwana Antonowa i wynosi go z basenu.

IWAN ANTONOW: Nie tak mocno, złamiesz mi kręgosłup.

RATOWNIK: Każda chwila jest na wagę złota. Walczę o pańskie życie. *(robi mu energicznie sztuczne oddychanie, Iwan krzyczy)*

IWAN ANTONOW: Dość!... Dość!... Ojej, kończcie wreszcie! Dość! Słyszysz czy nie!...

RATOWNIK: Już kończę. *(stawia go na nogi, Iwan jest oszołomiony, chwieje się)* Jeszcze minuta zwłoki i byłby się pan utopił.

IWAN ANTONOW: Woda była bardzo zimna. Dostałem skurczu mięśni.

Ratownik przebiega scenę drżąc z zimna, zawija się w płaszcz kąpielowy, okrywa Iwana Antonowa drugim płaszczem. Iwan zdejmuje go.

RATOWNIK: *(podchodzi do jakiejś szuflady i wyciąga z niej specjalny zeszyt)* Pan się podpisze. O tu, w tym miejscu. Dziękuję.

IWAN ANTONOW: *(podpisuje się)* I po co ci za każdym razem robić ten cyrk?

RATOWNIK: Taki jest porządek, proszę pana. Sam pan rozumie, że gdyby w ratownictwie wodnym nie było porządku... No i potrzebne jest do sprawozdań. *(zauważa człowieka, stojącego przy drzwiach)* Patrz pan, tam jakiś stoi.

Podczas robienia sztucznego oddychania do pokoju wszedł człowiek, który teraz stoi w milczeniu przy drzwiach.

IWAN ANTONOW: Czy to nie ten od delfinów?

RATOWNIK: Nie odzywa się. Strasznie ważny.

IWAN ANTONOW: Czeka! To chyba będzie z miejskiej rady, tam też złożyłem podanie. Powiedzieli, że przyślą kogoś, by sprawdził na miejscu. A my się tutaj ratujemy. Proszę bardzo, niechże pan wejdzie, no, nareszcie, proszę dalej. Bardzo mi przyjemnie, Iwan Antonow. No i sam pan widzi, jaka jest

sytuacja: dziury, doły, baseny, jednym słowem gorzej być nie może. Wyjeżdżam na urlop, wracam – a w mieszkaniu odkryli łaźnię rzymską. Z czasów cesarza Pompiliusza, z matronami. Te matrony to tam. *(pokazuje)* Zostawiłem robotników, żeby wymienili podłogę, ci rozkopali i... masz rzymską łaźnię. Jedyna w świecie, unikatowy zabytek sztuki. Piszą o niej prace naukowe, UNESCO obejmuje patronat, mamy też ratownika. *(wskazuje Ratownika, który się kłania)* Wszystko to jest wspaniałe, tylko że ja nie mam gdzie mieszkać. Taki jest ostateczny wynik. W mieszkaniu mam pełno docentów, ratowników, boi, niewykluczone, że będą tu kształcić pływaków... Rozkopują mi ubikację, mają na oku kuchnię, niszczą meble – i to wszystko w imię nauki. Nauka żąda ofiar – Iwan Antonow je daje. Chcą zdobyć na olimpiadzie dziesięć złotych medali – wszystko kosztem Iwana Antonowa.

Nowo przybyły słucha uważnie Iwana Antonowa, chłonie każde jego słowo, wyjmując notatnik i coś zapisuje.

IWAN ANTONOW: Fakt, że nie jestem rzymską łaźnią, ale czy ja też nie mam prawa do istnienia? Do powierzchni mieszkaniowej? Do troski?

Nowo przybyły w milczeniu kiwa głową, zgadza się z Iwanem Antonowem.

IWAN ANTONOW: Wyobraża pan sobie, co się stanie? W tej chwili kopiuję w ubikacji. Jeśli i tam coś znajdą, mój dom zmieni się w muzeum. Poprzeciągają czerwone sznury, porozwieszają napisy w obcych językach... A ja gdzie mam iść? Mnie cudzoziemcy nie będą chcieli oglądać, mną się nie zainteresują...

RATOWNIK: Pewnie, oni byle czego nie oglądają.

IWAN ANTONOW: Słusznie. Męczą mnie ze wszystkich stron. Jeden kopie, drugi ratuje, trzeci opowiada o Lago di Como... Ci, co kopią, nie dają mieszkania, oni tylko kopią. Ci, co dają mieszkania, nie mają znowu nic wspólnego z tymi, co kopią. A wszyscy razem oświadczają, że nie mają nic wspólnego ze mną. I tak wygląda sytuacja, towarzyszu z Wydziału Skarg i Wniosków. Jeśli już wy nic nie zdiełacie, wezmę i osiedlę się nad brzegiem tego przeklętego Lago di Como, do takiego stanu jestem doprowadzony. Niech się pan jednak zgodzi, że nie mogę położyć się pod drzewami na Placu Sławejkowa. Pisałem podania, chodziłem, tłumaczyłem, ale w mojej sprawie nic się nie robi. Proszę o przedsięwzięcie jakichś kroków.

Iwan Antonow milknie i patrzy na przybysza. Ten ze swojej strony patrzy na Iwana Antonowa by sprawdzić, czy już skończył, czy też ma zamiar jeszcze mówić. Widząc, że Iwan Antonow skończył, pisze coś w notatniku i podaje go Iwanowi Antonowi. Iwan czyta notatkę i ze zdumieniem patrzy na gościa, po czym przenosi wzrok na Ratownika.

RATOWNIK: Co, dają panu nowe mieszkanie?

IWAN ANTONOW: *(znowu patrzy na gościa, potem na głos czyta)* „Jestem od urodzenia głuchoniemy. Bardzo proszę o wsparcie mnie sumą dwóch lewów. Z góry dziękuję!”

RATOWNIK: *(patrzy ze zdziwieniem na przybysza)* Co takiego?!...!

IWAN ANTONOW: *(do głuchoniemego)* Czemuś od razu nie powiedział, człowieku?

RATOWNIK: Jak miał powiedzieć? Przecież jest głuchoniemy.

IWAN ANTONOW: Mógł podać kartkę. A nie pozwalać mi gadać na wiatr.

RATOWNIK: Zobaczył, że mu pan coś zaczął opowiadać i nie chciał przerywać. Bał się pana urazić, bo liczy, że mu pan da te dwa lewy.

IWAN ANTONOW: Może i masz rację. Ale nie mam tyle. Chyba że drobnymi.
(*do głuchoniemego*) Przepraszam, a czy może być drobnymi?

Głuchoniemy podaje mu kartkę.

RATOWNIK: No i?

IWAN ANTONOW: (*czyta kartkę*) Może.

Kurtyna

Hol Iwana Antonowa, ta sama sytuacja, tylko wieża Ratownika została umieszczona na miejscu łóżka, na rusztowaniu przy basenie, a łóżko stoi na podłodze obok wieży. Na wieży pod parasolem siedzi Ratownik i gwizdże gwizdkiem.

RATOWNIK: Wracać! Wracać! Nie tędy, tam już jest strefa niechroniona!
Proszę orientować się na boje! (*patrzy na kogoś, kto stoi przed drzwiami, ale jeszcze nie wszedł*)

Pojawia się prowadzony rozkazami Ratownika aktywista organizacji rejonowej Geczew, jest wyraźnie zaskoczony.

RATOWNIK: Dokąd? To jest najgorsze miejsce, strefa niechroniona, tam są skały podwodne... W lewo! Proszę patrzeć na mnie! Po to tu jestem! Naprzód... Stop! (*Geczew zatrzymał się tuż przed dziurą w podłodze*) Widzi pan! Trzeba patrzeć na mnie i tylko na mnie. Teraz może pan iść, jeszcze, jeszcze... Teraz sus, jest pan na skałach, proszę skakać, dobrze... Teraz dwa kroki w prawo, jeszcze dwa, proszę patrzeć na mnie!...

Prowadzony tymi rozkazami Geczew wpada w jedną z prostokątnych dziur w podłodze i znika. Ratownik tylko na to czekał. Zrzuca płaszcz kąpielowy, wkłada maskę pływacką z fajką i rusza ku dziurze.

RATOWNIK: No i proszę! Mówiłem! Niech pan się teraz trzyma! Płynę! Płynę do pana! (*skacze do dziury*)

W tym samym czasie Geczew wychodzi z innej dziury i niezmiernie zdziwiony słucha krzyków Ratownika.

RATOWNIK: Widzę pana!... Tylko spokojnie!...

GECZEW: I co z tego, że mnie pan widzi!...

Ratownik wychyla się z dziury, z której przed chwilą wyszedł Geczew, nabiera powietrza i znów znika. Geczew przechodzi dalej i pochyla się nad inną dziurę – tą, w którą wpadł. Stamtąd wychyla się także Ratownik, mocno się uderzają głowami.

GECZEW: Ojej, to chyba wstrząs mózgu! (*łapie się za głowę*)

RATOWNIK: Ano pewnie. To dlatego, że pan mnie nie słucha. Proszę teraz uważać. (*podstawia mu nogę i Geczew pada na ziemię. Ratownik rzuca się na niego i zaczyna mu robić sztuczne oddychanie*)

GECZEW: Ojej, ojej!... Co to... moja ręka... ojej, ratunku!...

RATOWNIK: Mówienie może panu zaszkodzić.

GECZEW: Ojej... mój kręgosłup... Dlaczego?

RATOWNIK: Przede wszystkim trzeba się uspokoić. Po takich wypadkach bardzo często dochodzi do szoku. (*energicznie kontynuuje sztuczne oddychanie*)

GECZEW: Litości!...

RATOWNIK: (*zostawia go na podłodze, na wpół uduszonego i obolałego*) No, jest pan uratowany. (*podbiega do wieży, „wytrząsa wodę” z ucha, owija się płaszczem kąpielowym*)

GECZEW: (*powoli przychodzi do siebie, wszystko go boli*) To jest ta rzymska łaźnia?

RATOWNIK: Tak.

GECZEW: Podobno jedyna w świecie?

RATOWNIK: Tak mówią.

GECZEW: A czy pan jest z naszej organizacji?

RATOWNIK: Z jakiej organizacji?

GECZEW: Rejonowej. Jestem aktywistą, działam przy wszystkich imprezach, ale pana jeszcze nie widziałem.

RATOWNIK: Ja jestem ratownikiem przy tym basenie.

GECZEW: Tak? I co pan robi?

RATOWNIK: Ratuję. Poza tym będziemy tutaj szkolić tysiące młodych pływaków – takie jest teraz zapotrzebowanie społeczne. Sport masowy stanowi podstawę wszystkich naszych osiągnięć.

GECZEW: I organizacje masowe, niech pan nie zapomina o organizacjach masowych.

RATOWNIK: *(wyciąga zeszyt)* Teraz proszę się podpisać.

GECZEW: Co to jest?

RATOWNIK: Poświadczenie, że pana uratowałem.

GECZEW: Za to się płaci?

RATOWNIK: Nie. Ratowanie u nas jest bezpłatne.

GECZEW: Dobrze. *(podpisuje się)* A więc to jest łaźnia naszej organizacji rejonowej. *(ogląda łaźnię)*

RATOWNIK: To jest rzymska łaźnia imperatora Pompiliusza.

GECZEW: Minęły już czasy, kiedy imperatorzy mieli łaźnie. Teraz łaźnie nie należą do nich. Teraz to jest łaźnia naszej organizacji rejonowej. *(wchodzi do basenu i ogląda go z lubością)* Ładna. I mówi pan, że jedyna na świecie?

RATOWNIK: Drugiej takiej nie ma.

GECZEW: A więc żadna inna organizacja rejonowa nie może mieć takiej łaźni?

RATOWNIK: Żadna.

GECZEW: Jest pan pewny?

RATOWNIK: Tak mówi Docent.

GECZEW: To znaczy, że wygramy współzawodnictwo. Teraz już na pewno wygramy. Niech oni sobie zbierają butelki – myśmy odkryli jedyną w świecie łaźnię rzymską. Jaka inna organizacja rejonowa może się pochwalić takim sukcesem?

RATOWNIK: Żadna.

GECZEW: Żadna. Ani czterdziesta trzecia, ani sto siódma... ani... (*patrzy na matrony*) Tylko że te gołe babki... tak jakoś...

RATOWNIK: Taka była epoka. Wtedy kąpano się na golasa.

GECZEW: Tak, tak, epoka, właśnie tak powiem komisji: epoka była inna, towarzysze, epoka ponosi winę. O pływakach też powiem – tutaj nasza organizacja rejonowa będzie szkolić tysiące nowych pływaków. Takie jest teraz zapotrzebowanie społeczne!...

RATOWNIK: A jakże ich będzie szkolić wasza organizacja?

GECZEW: Sam pan przecież powiedział, że tu się będzie szkolić tysiące nowych pływaków. Mniejsza z tym, kto ich będzie szkolić. Najważniejsze, żebyśmy wygrali współzawodnictwo. Żeby komisja zobaczyła, że odpowiadamy na najpilniejsze zapotrzebowanie społeczne, że reagujemy. Tak, tysiące nowych pływaków w basenie Pomp...Pomp... jak on się właściwie nazywał?

RATOWNIK: Pompiliusza. Od „pompa”, tylko że liczba mnoga – „pompi-
liusz”.

GECZEW: Tak. Od „pompa”. To brzmi symbolicznie, właśnie tak powiem komisji. Teraz już nie ma siły, żebyśmy nie wygrali współzawodnictwa. I wie pan co, panie Ratownik, wtedy nagrodę mamy praktycznie w kieszeni. A wie pan, jaka to jest nagroda?

RATOWNIK: Skąd mam wiedzieć?

GECZEW: Wycieczka do Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

RATOWNIK: Nieźle.

GECZEW: Tam miksery są dwa razy tańsze niż u nas.

RATOWNIK: A jak je przewieziecie przez granicę?

GECZEW: Aktywistów nie dotyczy kontrola celna. My działamy społecznie. Przynajmniej ja tak myślę.

RATOWNIK: Przekonaj pan o tym enerdowskich celników i wtedy pogadamy...

GECZEW: Ale jakże to? Powinno się mieć więcej zaufania do organizacji masowych. Organizacje masowe...

Nie kończy, bo w tym momencie wchodzi Iwan Antonow i Marta, narzeczona Docenta. Marta robi wrażenie na Geczewie, widać to po jego wzroku.

MARTA: Dzień dobry!

GECZEW: *(patrzy na nią, niemal się oblizując)* Dzień dobry, dzień dobry.

IWAN ANTONOW: *(ironicznie)* Nie gniewaj się, trochę tu porozrzucane...

MARTA: Nie porozrzucane, tylko wręcz zrujnowane.

IWAN ANTONOW: W stylu Docenta.

MARTA: (*z wyrzutem*) Przecież mówiliśmy.

IWAN ANTONOW: Przepraszam. (*do Ratownika, wskazując na Geczewa*) A ten skąd się tutaj wziął?

RATOWNIK: Właśnie go uratowałem. Z organizacji rejonowej.

GECZEW: Aktywista! Jestem aktywistą naszej organizacji rejonowej.

IWAN ANTONOW: Bardzo mi przyjemnie.

GECZEW: A towarzyska? Też jest z naszej organizacji rejonowej?

IWAN ANTONOW: Nie. Towarzyszka jest z innej organizacji rejonowej.

GECZEW: Szkoda. Od razu widać, że dobrze by się z nią pracowało. (*przy tych słowach patrzy chciwie na Martę*) To ja już pójdę, widzę, że jesteście zajęci. (*patrzy na Martę, jakby chciał coś powiedzieć, przenosi wzrok na basen, znów patrzy na Martę, potem na Iwana Antonowa*) Do widzenia.

IWAN ANTONOW: Do widzenia. (*do Ratownika*) To twój przyjaciel?

RATOWNIK: Ledwo zdołałem go wyciągnąć z wiru. Mówił o jakimś współzawodnictwie.

IWAN ANTONOW: Aha. I nic nie chciał?

RATOWNIK: Nie.

IWAN ANTONOW: Dziwne. Aż mnie to niepokoi: przychodzi facet i niczego się nie domaga.

MARTA: (*półgłosem*) A ten na wieży to kto?

IWAN ANTONOW: Ratownik. Z wydziału kultury fizycznej i sportu. Przydzielony do basenu.

MARTA: Kogo on ratuje?

IWAN ANTONOW: Na przykład mnie. Uratował mnie jakieś pięćdziesiąt razy.

MARTA: Chyba nie mówisz poważnie?

IWAN ANTONOW: Jest tu oficjalnie przydzielony. A innych ofiar nie udaje mu się złapać.

MARTA: Boże drogi – ratownik!...

IWAN ANTONOW: To niezły chłopak.

MARTA: Idę poszukać tej książki. (*rusza pomiędzy meblami do rozrzuconych książek*)

RATOWNIK: Można na moment?

IWAN ANTONOW: Tak?

RATOWNIK: Musi mi pan podarować złoty zegarek. Może być kieszonkowy.

IWAN ANTONOW: (*myśli, że to żart*) Czemu? Masz urodziny?

RATOWNIK: (*poważnie, twardo*) To pana obowiązek – uratowałem panu życie.

IWAN ANTONOW: Chyba żartujesz. Kiedy?

RATOWNIK: Wiele razy. Powiedziałem swoim szefom, że z wdzięczności podarował mi pan złoty zegarek. Oni by go chcieli zobaczyć.

IWAN ANTONOW: Podśłuchaj, dość tych żartów, jestem zajęty.

MARTA: (*woła spośród mebli*) Straszny tu bałagan, nic nie można znaleźć.

IWAN ANTONOW: Na pewno gdzieś tam jest, zaraz przyjdę ci pomóc.

RATOWNIK: (*przytrzymuje go*) Podpisywał pan dokumenty. (*otwiera zeszyt*)

IWAN ANTONOW: (*zdumiony*) Ale przecież ja to robiłem, żeby ci sprawić przyjemność.

RATOWNIK: Ładna mi przyjemność – ratować tonących.

IWAN ANTONOW: Pójdę do twoich szefów...

RATOWNIK: Czy to jest pański podpis? (*pokazuje zeszyt*) Pański. Widnieje na oficjalnym dokumencie? Jak najbardziej. Wie pan, jaka jest kara za fałszowanie oficjalnych dokumentów? Więzienie. Tym podpisem wprowadzał pan w błąd państwo, i to niejednokrotnie, fałszując informacje.

IWAN ANTONOW: To była zabawa.

RATOWNIK: Ładna mi zabawa, za którą można znaleźć się za kratkami.

IWAN ANTONOW: Ja nie mam złotego zegarka.

RATOWNIK: Ma pan tutaj, w kieszeni.

IWAN ANTONOW: To jest pamiątka po moim ojcu...

RATOWNIK: Jak pan nie chce, najwyżej pójdzie pan do więzienia.

IWAN ANTONOW: Chyba to będzie najlepsze rozwiązanie. I tak nie mam gdzie mieszkać.

RATOWNIK: A co powie ona?

IWAN ANTONOW: Jaka „ona”?

RATOWNIK: (*pokazuje*) Marta. Narzeczona Docenta. Póki pan będzie odsiadywał swoje, Docent znowu ją capnie, to przecież niezły kozak.

IWAN ANTONOW: Tak... niezły kozak.

RATOWNIK: Kobiety są bardzo czułe na punkcie reputacji. Chyba, że pan chce wypuścić dziewczynę z rąk.

Ratownik wyciąga rękę. Iwan Antonow jest zamyślony i zaskoczony. Mimo wszystko Marta jest jedynym, co posiada, co jest mu drogie. Wyciąga zegarek i podaje go w milczeniu Ratownikowi. Ten przykłada go do ucha.

RATOWNIK: *Chodzi. (oddala się, naciągnąwszy na głowę kaptur płaszcza kąpielowego)*

Iwan Antonow, załamany i wstrząśnięty, rusza wolno, z pochyloną głową. Ratownik wychodzi. Iwan Antonow idzie dalej w zamyśleniu, dochodzi już do miejsca, gdzie jest Marta i tam omal nie dostaje w głowę rzuconą przez nią książką. Zręcznie ją chwyta. Marta rzuca drugą, trzecią, czwartą...

MARTA: *(wesóło)* Czy to może ta?... ta?... ta?

IWAN ANTONOW: *Nie. Ta też nie. I ta... Czekał no, zabijesz mnie! (też się zaczyna śmiać)*

W rękach Iwana Antonowa jest już kilkanaście książek, rzuconych przez Martę. Sama Marta bierze drugie, podchodzi do Iwana Antonowa i odłożywszy książki obejmuje go. Całują się. Ręce Iwana Antonowa są zajęte książkami. W tym momencie w drzwiach kuchni zjawia się Docent. Jest bardzo nieprzyjemnie zaskoczony.

DOCENT: *Marta!...*

Obydwoje, zmieszani, odskakują od siebie, potem Iwan Antonow rzuca książki na podłogę i znowu obejmuje Martę.

DOCENT: Marta! Na moich oczach!...

IWAN ANTONOW: Możesz się nie patrzeć!

DOCENT: Proszę do mnie nie mówić per ty. Z panem będę rozmawiał oddzielnie. Już dawno uprzedziłem, żeby mi nie stawać na drodze.

IWAN ANTONOW: Pamiętam. Powiedział pan, że mnie zmiążdży. Od tamtej pory odnoszę wrażenie, że pańskie możliwości walca drogowego nie są dostatecznie wykorzystywane w naszej gospodarce narodowej.

MARTA: Czego chcesz?

DOCENT: Jak możesz... na moich oczach... z tym...

MARTA: Jaką wolisz odpowiedź – pisemną czy ustną?

DOCENT: Marta!!!...

IWAN ANTONOW: Pójdę poszukać tej książki. *(oddala się)*

Tuż przed pojawieniem się Docenta do pokoju wrócił Ratownik – otulony w płaszcz kąpielowy, w kapturze na głowie. Wszedł na wieżę i zaczął obserwować przez lornetkę, wtedy pojawił się Docent. W tej chwili Ratownik obserwuje przez lornetkę scenę między nim a Martą. Iwan Antonow, rozciągnięty na podłodze między meblami, szuka książki, po którą przyszedł razem z Martą.

MARTA: Masz jeszcze jakieś pytania? Może coś cię interesuje, może czegoś nie umiesz sobie wytłumaczyć?

DOCENT: (*głucho*) Myślałem, że chociaż trochę mnie kochasz.

MARTA: Tak?

DOCENT: Jesteś tutaj, we mnie, w środku...

MARTA: W tobie w środku jest łaźnia.

DOCENT: I ty!...

MARTA: Tam nie ma miejsca dla nas obu.

DOCENT: (*po chwili namysłu*) Chcesz, żebym wszystko rzucił?

MARTA: (*patrzy mu w oczy*) Tak.

DOCENT: Żebym rzucił łaźnię, rozprawę naukową, wszystko?!!

MARTA: Tak. Wtedy ci uwierzę.

Iwan Antonow odwrócił się i w napięciu obserwuje tę scenę. To decydujący moment. Docent milczy, gorączkowo rozważa – trwa to wszystko sekundę.

DOCENT: Czy to będzie rozsądne?

MARTA: Oczywiście, że nie. Rzucić wszystko z powodu kobiety – takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach.

DOCENT: Marta, bądź rozsądna. Ta łaźnia jest decydująca nie tylko dla mojej przyszłości, lecz i dla twojej. Opublikowanie mojej rozprawy o łaźni rzymskiej przyniesie ci w efekcie więcej szczęścia, niż może ci dać ten ograniczony

człowiek, który się tam czołga między meblami. Czemu miałbym rzucać łaźnię? Czy nie możemy postępować jak nowocześni ludzie, gdzie jedno nie przeszkadza drugiemu, wprost przeciwnie...

MARTA: To jej nie rzucaj. Idź sobie kopać. Nie przyszedłem tu po to, by ci rujnować karierę, przyszedłem z Iwanem Antonowem.

DOCENT: Z Iwanem Antonowem! Posłuchaj tylko, jak brzmi jego nazwisko: Iwan Antonow! (*mówi to z pogardą*) Drobnomieszczanin, zamknięty w swojej skorupie, który umie powtarzać tylko jedno – dajcie mi mieszkanie, dajcie mi mieszkanie, dajcie mi mieszkanie. Ani śladu myśli o sztuce, o nauce, o czymś wzniosłym, niematerialnym – jemu jest potrzebne tylko mieszkanie, chce mieszkać... A raczej wegetować, tak, to najwłaściwsze słowo.

IWAN ANTONOW: Zdaje się, że poradzono panu zabrać się do kopania.

DOCENT: A razem z nim będziesz wegetować ty.

MARTA: O mnie się nie musisz troszczyć. Późno sobie przypomniałeś.

DOCENT: Myślisz, że on w ogóle może ci coś dać... Przecież to taki typ, który będzie się zastanawiał, wahał, podejmował w nieskończoność decyzje – i niczego nie osiągnie, nigdy. Nawet nie będziecie mieli gdzie mieszkać. Tego domu on już z powrotem nie dostanie, nie ma najmniejszej szansy, rozkopię mu go do końca... Pieniądzy też na pewno nie ma, mogę się założyć.

MARTA: Nie ma.

IWAN ANTONOW: Nie mam.

DOCENT: Zmarnujesz się, Marta. Nie będziesz miała żadnej pozycji w społeczeństwie. Podczas gdy jako żona docenta...

W tym momencie Iwan Antonow znalazł poszukiwaną książkę.

IWAN ANTONOW: O, jest, znalazłem ją!

MARTA: *(biegnie do niego)* To cudownie. *(całuje go)*

DOCENT: Więc wyście się stale spotykali... przez cały ten czas...

Nie zwracając na niego uwagi przeglądają książkę, coś do siebie mówią... W tym momencie odzywa się Ratownik, który dotychczas siedział w kapturze na głowie i z lornetką przed oczyma...

CEKOW: *(bo to jest on, ubrany w strój ratownika)* Antonow! Antonow!

MARTA: A kto to znowu?

CEKOW: *(odsłania twarz, zdejmuje kaptur)* Można na chwilę? *(zeskakuje z wieży, podchodzi do Iwana Antonowa i Marty)*

IWAN ANTONOW: Nie można. Jestem zajęty.

CEKOW: Antonow, traci pan największą szansę w swoim życiu.

IWAN ANTONOW: A więc w przyszłości nie będzie się o co martwić.

CEKOW: To jest pół miliona, człowieku, niech się pan opamięta!... Kobiet, ile tylko pan zechce... i samochody, i wszystko... A pan chce z powodu jednej kobiety...

IWAN ANTONOW: Proponuję, żebyśmy nie dyskutowali nad tą sprawą. *(idzie przed siebie wzdłuż łaźni rzymskiej)*

CEKOW: *(wskakuje do basenu, chwyta Antonowa za spodnie)* Antonow!!!

IWAN ANTONOW: Chyba widać, że jestem zajęty. Dlaczego mi pan zawraca głowę?

CEKOW: Dlatego, że nie ma czasu. Stracimy jedyny moment. Jeśli się pan teraz nie zdecyduje, to wszystko na nic. Za tydzień mój człowiek przechodzi do Intercommerce'u i nie będziemy jej mieli jak wywieźć.

IWAN ANTONOW: *(idzie dalej, uciekając przed Cekowem)* Nawet nie dają człowiekowi spokojnie pocałować się z narzeczoną. *(Cekow wchodzi w jakąś dziurę i po chwili wylania się z tej, przy której stoi Iwan Antonow z Martą)*

DOCENT: Wyjdzie ci jeszcze bokiem ta narzeczona.

CEKOW: *(wychyla się do pasa z dziury)* Narzeczoną też weźmiemy. Tylko nie zwlekajcie.

MARTA: Co to za człowiek?

CEKOW: Antonow, czas to dewizy!

RATOWNIK: *(właśnie wchodzi i widzi Cekowa w dziurze)* Co, topi się? *(Cekow się chowa)* Już po nim! *(rzuca się w stronę dziury)* Chce nam odebrać chleb! *(mówi to, przebiegając obok Docenta)*

Rzuca się gonić Cekowa. Ten ucieka, obydwaj pokazują się to w jednej, to w drugiej dziurze.

DOCENT: Narzeczona, rzeczywiście! Żeby tak bezczelnie zabrać komuś narzeczoną!

IWAN ANTONOW: Kto może, ten i zabiera.

MARTA: Nie odzywaj się, przecież mówiliśmy. *(do Docenta)* Nie zapominaj, że jeszcze czeka na ciebie ubikacja – idź, kop!

DOCENT: Ty lafiryndo!...

IWAN ANTONOW: *(zaczyna zdejmować marynarkę)* Mówiłaś, że się mam nie odzywać?...

Docent także rozpiną marynarkę, ale potem uświadamia sobie bezsens sytuacji i odchodzi. Iwan Antonow i Marta też chcą odejść, lecz w tym momencie z pobliskiej dziury niespodziewanie wylania się Diamandijew.

DIAMANDIJEW: Dzień dobry! Przyszedłem po pełnomocnictwo!

IWAN ANTONOW: Po jakie pełnomocnictwo?... Ach tak, chodzi o dom.

DIAMANDIJEW: Klient się niecierpliwi. Podniósł sumę. Nie chcę mówić przy wszystkich, ale suma jest ogromna. A ta pani to kto?

IWAN ANTONOW: Moja narzeczona.

DIAMANDIJEW: *(mimochodem, ze znanstwem)* Piękna kobieta. Więc mogę przy niej mówić?

IWAN ANTONOW: Jak najbardziej.

Pod koniec tej repliki z niedalekiej dziury wychyla się Cekow i nastawia ucha. Ratownik, który go goni, gwizdże gwizdkiem i Cekow rzuca się do ucieczki. Chowa się w innej dziurze, a Ratownik skacze za nim i także znika.

DIAMANDIJEW: A co to za jedni?

IWAN ANTONOW: Dzieci przyrody, gonią się.

DIAMANDIJEW: Adwokatów już znalazłem. Wszyscy trzej to stare wyjadacze. Musimy tylko zrobić jeszcze małą kombinacyjkę – musi pan adoptować mojego klienta.

IWAN ANTONOW: Kogo adoptować?!!

DIAMANDIJEW: Mojego klienta.

IWAN ANTONOW: A ile on ma lat?

DIAMANDIJEW: Pięćdziesiąt dwa, ale to nie ma najmniejszego znaczenia.

MARTA: Syn jak się patrzy.

IWAN ANTONOW: Ale przecież adopcji podlegają tylko osoby do....

DIAMANDIJEW: To już moja sprawa. Zdarzyło mi się adoptować nawet osiemdziesięcioletnich staruszków.

IWAN ANTONOW: O, co to, to nie.

DIAMANDIJEW: Niech się pan nie obawia, to tylko drobny chwyt prawny. Z tych najbardziej niewinnych. Inaczej nie będzie można sprzedać domu właśnie jemu. Tu są formularze, musi je pan wypełnić i zaraz bierzemy się do roboty...

IWAN ANTONOW: Wykluczone! Wszystko, tylko nie to!

Idą z Martą do wyjścia. Diamandijew idzie za nimi, wyciągając z teczki dokumenty. Przed nimi i za nimi przebiegają Cekow i Ratownik, którzy dalej się gonią, następuje całkowity bałagan, jak przy grze w chowanego. Iwan Antonow

*nie wie, gdzie się podziać, zmieniają z Martą kierunki, błądzą po pokoju...
Jednocześnie Ratownik dogania Cekowa, który wdrapuje się po stopniach na
wieżę. W tym momencie słychać głos Geczewa.*

GECZEW: Proszę bardzo, towarzysze, pozwólcie. Tędy, tędy...

*Do holu wchodzi Geczew, któremu towarzyszy trzech mężczyzn w nowych
ubraniach, z teczkami. Jest to komisja.*

GECZEW: Tędy, towarzysze, proszę uważać na dziury w podłodze.

Komisja rozgląda się i staje przed rzymskim basenem.

GECZEW: A oto największy sukces naszej organizacji rejonowej. *(od strony
kuchni wchodzi Docent i zaskoczony zamiera w miejscu)* W wyniku
systematycznej pracy i pełnej mobilizacji wszystkich członków odkryliśmy
jedyną w świecie rzymską łaźnię z czasów Pompiliusza. Imperatora rzymskiego.
Ten unikatowy zabytek pokazywany był nawet w telewizji i znajduje się na
terenie naszej organizacji rejonowej – tylko i wyłącznie naszej, żadnej innej. Tu,
w tym miejscu, jedynym w swoim rodzaju, przeprowadzać będziemy zebrania i
konferencje. Będziemy zbierać surowce wtórne. Będziemy się spotykać z
przodownikami pracy. Tutaj raz w tygodniu obradować będzie społeczny sąd
pojednawczy. Postawimy też bilard. Tutaj, w tym basenie, szkolić będziemy
tysiące nowych pływaków – takie jest teraz zapotrzebowanie społeczne.
Zaplanowaliśmy otrzymać dziesięć złotych medali za pływanie na najbliższej

olimpiadzie. Na ostatnim posiedzeniu postanowiliśmy, że osiem z nich da nasza organizacja rejonowa.

Iwan i Marta stoją koło łaźni rzymskiej. Za nimi jest Docent. Naprzeciwko nich Diamandijew, z teczką w ręce. Na schodach zastygł Ratownik. A ponad nimi, na wieży, stoi Cekow i ponuro patrzy przed siebie.

GECZEW: A oto towarzysz Antonow, który mieszka tutaj, obcując na codzień z łaźnią. Jest naszym dobrym członkiem, jednym z pierwszych w terminowości płacenia składek członkowskich, pomaga kierownictwu przy przeprowadzeniu wszelkich imprez. *(komisja ogląda Iwana Antonowa w ten sam sposób, w jaki przed chwilą oglądała łaźnię rzymską)* Przodownik w zbieraniu makulatury dla naszego przemysłu celulozowego.

GECZEW: *(dalej, o Marcie)* Jego małżonka, która niedawno przeszła do naszej organizacji rejonowej.

GECZEW: *(o Docencie)* Hydraulik opiekujący się łaźnią rzymską, pracuje społecznie!... *(Docent jest tak oburzony, że aż siada)*

GECZEW: *(o Diamandijewie)* Jego pomocnik. Na ryczałcie.

GECZEW: *(o Ratowniku)* Aktywny działacz społeczny, odpowiada w naszym rejonie za sport masowy i za młodą zmianę, szkoli tysiące nowych pływaków.

GECZEW: *(o Cekowie)* Dusza organizacji rejonowej! Żyje świadomym życiem organizacyjnym, przygotowuje hasła i plansze agitacyjne, a także inne materiały propagandowe. *(Cekow uśmiecha się skromnie)*

Komisja na czele z Geczewem wychodzi. Przez chwilę panuje cisza. I nagle jakby wybucha burza – wszyscy rzucają się na Iwana Antonowa.

DOCENT: Bilard w łaźni rzymskiej! Antonow, pan za to odpowie!

CEKOW: Co za sąd pojednawczy? Z jakiej racji? Co ma wspólnego z tym wszystkim sąd? Antonow, pan obiecał!...

Antonow cofa się przed ich krzykami aż do basenu.

IWAN ANTONOW: Niczego nie obiecywałem.

DIAMANDIJEW: Co za konferencje? Skąd nagle surowce wtórne? Na jakiej podstawie prawnej? Na jakiej podstawie prawnej, pytam?!!...

IWAN ANTONOW: Nie mam pojęcia.

RATOWNIK: Co za młoda zmiana?! Co za idiotyzm – tysiące młodych pływaków. Przecież tu nie ma ani kropli wody!...

CEKOW: Poczyłem już pewne wydatki, poniosłem też straty moralne. Albo pójdziemy, albo... pójdziemy!...

DIAMANDIJEW: *(wchodzi do basenu za Iwanem Antonowem)* On nigdzie nie pójdzie! Mój klient czeka. Trzej adwokaci też czekają. Jest przecież ojcem, nie wykręci się od adopcji.

CEKOW: Poniosłem straty moralne, nazwany zostałem duszą organizacji rejonowej, nie pozostawię tego bez konsekwencji!...

DOCENT: To barbarzyństwo!!! Temu zbieraczowi makulatury trzeba wreszcie przypomnieć, gdzie jest jego miejsce!...

Wszyscy otoczyli Iwana Antonowa, który znajduje się w basenie. Wiszą mu nad głową i krzyczą.

DIAMANDIJEW: Daj pełnomocnictwo! Twoje dziecko czeka!

DOCENT: To ja odkryłem łaźnię rzymską!

RATOWNIK: Mam tu skierowanie!!!... *(klepie się po kieszeni)*

CEKOW: Mój człowiek przechodzi do Intercommerce'u! Teraz albo nigdy!

DIAMANDIJEW: Jest ojcem! Musi adoptować!

RATOWNIK: Lekceważy ratowników!

DOCENT: Niech mi odda narzeczoną!

CEKOW: Wywieźmy stąd tę łaźnię!

Iwan patrzy na nich, potem krzyczy: DOŚĆ!, chwytą kilof i podnosi go nad głową. Wszyscy zamierają. Cisza. Potem rozlegają się okrzyki.

WSZYSCY RAZEM: Niiieee!...

CEKOW: Pomyśl o kulturze!

DOCENT: O ludzkości!

RATOWNIK: O fizykulturze!

DIAMANDIJEW: O swoim synu!

GECZEW: *(który właśnie wszedł)* O organizacji rejonowej!

GŁUCHONIEMY: *(który wszedł razem z Geczewem)* O głuchoniemych!

Iwan Antonow znowu patrzy na nich, potem na Martę i znowu z rozmachem unosi kilof nad głową. Wtedy wszyscy skaczą do środka basenu i zasłaniają go swoimi ciałami. Iwan stoi ze wzniesionym w górę kilofem. Moment. Potem opuszcza kilof, ironicznym gestem podaje go Docentowi, wychodzi z basenu, podchodzi do ściany i zdejmuje wiszący na niej zegar. Wraca i przechodzi po desce, przerzuconej nad basenem. W środku są wszyscy poza Martą, która stoi na górze. Antonow uśmiecha się do Diamandijewa i robi gest: „Co, podpisać?”, idzie dalej, imituje pływanie, ale lekko, tylko nawiązując do odpowiednich ruchów, ironicznie powtarza gest Geczewa, podaje rękę Marcie i obydwójce ruszają. Wychodzą, pozostawiając wszystkich w środku basenu. Przecinają scenę. Zmienacka odzywa się Kolumienka.

KOLUMIENKA: Antonow! Antonow!

IWAN ANTONOW: Spokojnie, Marta! Słucham?

KOLUMIENKA: Czemu piechotę? Jest masa wolnych taksówek.

IWAN ANTONOW: Tak? Ale my już mamy niedaleko.

KOLUMIENKA: Dokąd niedaleko?

IWAN ANTONOW: *(patrzy na widownię)* Tutaj, do ludzi.

KOLUMIENKA: Dokąd, dokąd?

IWAN ANTONOW: Do ludzi.

Obydwoje z Martą schodzą ze sceny na widownię i kłaniają się.

Kurtyna